MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr. 54. WARSZAWA, 15 GRUDNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 GR.

BŁĘDNE KOŁO

Były minister sprawiedliwości, p. Car, powiedział w swym odczycie krakowskim p. t. „Konstytucja 17 marca a polska rzeczywistość" że — ze strony obozu dziś rządzącego — „walka toczyć się będzie nie o władzę, bo ją rząd, urzeczywistniający ideę państwową marszałka Piłsudskiego posiada, ale o zdrowy ustrój państwowy, który ma zapewnić Polsce miejsce wśród narodów świata wtedy także, gdy przyjdą nowe pokolenia".

Wynikałoby stąd, że dla obozu p. Cara „władza" jest tylko środkiem, a „ustrój" — celem. Min. Kwiatkowski, przemawiając we Lwowie, powiedział nawet, że z chwilą przeprowadzenia reformy ustroju, rząd, będący wyrazicielem obozu pomajowego, lojalnie ustąpi i nowe rządy będą mogły swobodnie powstać na podstawie nowej konstytucji.

Wydaje się jednak, że jest to właściwie tylko gra słów i że rozróżnianie pomiędzy „środkiem" a „celem" w danym wypadku jest nieistotne.

Do takiego wniosku upoważnia w zupełności rozbiór projektu konstytucyjnego Bezp. Bloku Współpracy z Rządem. Niezależna krytyka zgodna jest w ocenie tego projektu z głosem szerokiego ogółu („*vox populi*"), który, jak wiadomo, orzekł z całą stanowczością, iż projekt B. B. — używając popularnego zwrotu — ustanawia „dziedziczność rządów sanacji".

Wbrew zatem twierdzeniu p. Cara i innych przedstawicieli rządzącego obecnie obozu „legjonowego", należy przyjąć, iż obóz ten, walcząc o nowy i, jak powiadają jego przywódcy, „zdrowy" ustrój państwa, walczy w istocie o swą władzę w państwie, o utrzymanie i utrwalenie swych rządów, o taką „konstytucję", która byłaby wyrazem układu sił, stworzonego przez zamach stanu 13 maja 1926 r.

Należy dodać, iż w gruncie rzeczy p. Car nie był daleki w swym odczycie krakowskim od takiego właśnie pojmowania obecnej „walki o ustrój", skoro na wstępie odczytu, powołując się na Lassale'a, stwierdził, iż konstytucja w swej istocie jest „rzeczywistem ustosunkowaniem się sił, tkwiących w danem społeczeństwie".

Zachodzi atoli pytanie, czy 1) obecny układ sił w Polsce jest tego rodzaju, by jego wyrazem prawno-państwowym miała być konstytucja na modłę projektu B. B. lub doń zbliżona i czy 2) można wogóle uważać ów dzisiejszy układ sił za ustalony, skrystalizowany i do tego stopnia trwały, by można go przyjąć za podstawę faktyczną nowej ustawy konstytucyjnej?

Co do pierwszej części tego pytania, to wystarczy uczynić przypuszczenie, że projekt B. B. lub inny podobny jest już prawem, by pojąć, jak dalece jest on obcy naszym stosunkom. Nie ulega wątpliwości, że, gdyby projekt ten wszedł w życie, rozbieżność między „rzeczywistem życiem konstytucyjnem państwa a literą prawa konstytucyjnego" (według odczytu p. Cara) byłaby o wiele jaskrawsza, niż jest dzisiaj w stosunku do konstytucji 17 marca. Społeczeństwo w tym nowym stroju konstytucyjnym czułoby się równie skrępowane, jak człowiek w źle skrojonem i zbyt kusem ubraniu. Państwo, które nie jest przecie niczem innem, jak prawną organizacją społeczeństwa, weszłoby zapewne w okres cięższych prób, niż po przyjęciu przez Sejm Ustawodawczy konstytucji obecnej.

Być może, że dzisiejsze projekty konstytucyjne B. B. w sytuacji z maja 1926 i pierwszego okresu rządów pomajowych były wyrazem ówczesnego chwilowego całkiem ustosunkowania się sił

w społeczeństwie, ale w obecnym układzie sił są już anachronizmem.

O nierealności projektu konstytucyjnego B. B. w odniesieniu do dzisiejszego układu sił świadczą najlepiej wypadki z 31 października i przebieg posiedzeń Sejmu w dn. 5 i 6 grudnia. I jedne i drugie udowodniły w sposób oczywisty, że przewrót majowy staje dzisiaj co chwila wobec dylematu nowego zamachu stanu, wracając w ten sposób z nieubłaganą koniecznością do swego punktu wyjścia.

Pomajowy układ sił w państwie należy już do przeszłości. I dlatego pomysły konstytucyjne B. B. znajdują dzisiaj tak słaby oddźwięk w społeczeństwie.

Nawet wielu zwolenników przewrotu uważa te pomysły za spóźnione i w obecnych warunkach nierealne.

Przychodzę do drugiej części postawionego tu pytania.

Czy można nadawać państwu i społeczeństwu nowe formy organizacyjne, wychodząc z obecnego układu sił w społeczeństwie? Czy układ ten jest dostatecznie skrystalizowany i trwały?

Powiedzieliśmy już, że pomajowa, stworzona przez zbrojny zamach równowaga polityczna zachwiała się w ostatnim okresie. Wszyscy odczuwają zupełnie wyraźnie, że opiera się ona w tej chwili wyłącznie na czynnikach fizycznego przymusu. Może „kryzys zaufania“ w stosunku rządów pomajowych nie doszedł jeszcze do tego napięcia, jak w stosunku do „sejmowładztwa“ — u schyłku rządów Wł. Grabskiego, ale istnieje on i coraz bardziej, w gwałtownem tempie się pogłębia. Dzień dzisiejszy cechuje bezwątpienia niepewność, płynność, tymczasowość.

Rzecz prosta, że na takim fundamencie niepodobna nic budować.

Trzeba też podziwiać śmiałość reformatorów, którzy podejmują się naprawy ustroju państwowego w warunkach najmniej odpowiednich, kiedy jeden „układ sił“ uległ już rozluźnieniu, a inny nie zdążył się wytworzyć jeszcze na jego miejsce.

Zdaje się, że jak mówi Pismo, „nie wiedzą, co czynią“.

Albo nie wiedzą, że fundament, na którym chcą budować, chwieje się. Albo nie wiedzą, że budując, będą dopiero budować fundamenty, a jeszcze nie samą budowlę, a w takim razie, że to, co zwą walką o nowy ustrój, jest w istocie wciąż jeszcze tylko walką o władzę.

Każda głębsza zmiana ustroju, dokonana na podstawie dzisiejszego układu sił w państwie i społeczeństwie, byłaby płodem niedojrzałym. Stosunki bowiem nie dojrzały jeszcze w chwili obecnej do uogólnień prawnych.

Nowy ustrój musi mieć dla siebie podstawy w życiu, ażeby mógł powstać w ustawie.

Do tej chwili zaś może być tylko prowizorjum. A czy to będzie prowizorjum z marca 1921, czy z maja 1926, czy z grudnia 1929—to w gruncie rzeczy wszystko jedno. Zagadnienie ustroju odrodzonego państwa pozostanie nadal otwarte.

Ale wypadki, związane z rozkładem dzisiejszego systemu rozwijają się szybko, coraz szybciej. Zbliża się też coraz bardziej chwila, kiedy naród znajdzie nareszcie wyjście z tego błędnego koła tymczasowości.

J. D. N.

O POLITYKĘ CZYNNĄ NAD DUNAJEM

O STANOWISKU Polski jako mocarstwa mówi się obecnie dużo. W związku z nową ambasadą w Londynie, pisało się o „przyznaniu Polsce stanowiska mocarstwa przez Anglję“.

Z punktu widzenia prawnego, państwa są równe i nie może być mowy o jakimkolwiek akcie, który miałby stanowić coś w rodzaju „mianowania” danego państwa mocarstwem. Klasyfikacja na mocarstwa i niemocarstwa jest czysto polityczna. A i pod tym względem jest już przestarzała. Polityków bardziej interesuje pogląd dynamiczny na sytuację międzynarodową. Dla nich znacznie ważniejsze od podziału na mocarstwa i niemocarstwa jest rozróżnienie państw, prowadzących politykę mocarstwową i takich, które takiej polityki nie prowadzą.

Co to jest polityka mocarstwowa? Określenie ścisłe jest trudne. Ale można powiedzieć mniej więcej, że kiedy myśl polityczna danego narodu zaczyna obejmować horyzont światowy, kiedy działalność polityczna państwa zaczyna starać się o wpływy zagranicą, i zdobywać je, oddziaływa na powstawanie ugrupowań międzynarodowych, zgodnych z jego interesami, wtedy można powiedzieć, że polityka danego państwa nabiera cech polityki mocarstwowej.

Trzeba oczywiście odróżnić politykę mocarstwową od awanturniczej. Polityka mocarstwowa jest aktywna, ale równocześnie planowa, i w razie potrzeby zdobędzie się na koncesje. Cechą polityki awanturniczej jest aktywność ale bezplanowa. Przeskakująca z jednego programu na drugi.

Nawet mniejsze państwo, jeżeli prowadzi z powodzeniem politykę mocarstwową, jest na drodze do stania się mocarstwem. A mocarstwo, które się nie może na nią zdobyć, musi spaść wkońcu do stanowiska drugorzędnego. Polityka mocarstwowa jest jedyną drogą do stania się mocarstwem.

Dawna Polska była w pewnych epokach swych dziejów mocarstwem. Polska odrodzona może także niem być pod warunkiem, że zdobędzie się na politykę mocarstwową. Pójdziemy jeszcze dalej. Położenie nasze jest tego rodzaju, że tylko duże państwo, mające politykę czynną, może się w niem utrzymać. Dopiero zbliżają się czasy, w których będziemy musieli zdać rachunek z dotych-

czasowej polityki. Jeżeli Polska nie zdobędzie się i nie utrzyma się na linji aktywnej, na szeroką skalę obrony swoich interesów, to niedługo zaczniemy ruch wsteczny, spadniemy do roli drugorzędnego państwa, z którem każdy robi, co chce. Polska bowiem nie jest państwem, które mogłoby żyć z cudzej łaski, tak jak np. Litwa. Jeżeli się nie przygotujemy do rozgrywki, to, jak czas przyjdzie, nikt nam nie pomoże. Jedni nie będą mogli, drudzy nie będą chcieli.

Jakież powinno się mieć pole działania dla naszej polityki mocarstwowej?

Polityka każda musi mieć jakiś jasno określony cel, jeżeli go niema, jeżeli ludzie odpowiedzialni za nią nie mają programu, to będzie ona albo bezczynna, albo bezplanowa, zamieni się w szereg rozpaczliwych porywów, wyłaniających się z coraz innych kombinacyj, co wkońcu doprowadzi do generalnej ruiny.

Nie mamy tutaj naturalnie zamiaru urabiać jakiegoś światopoglądu politycznego. Chodzi nam o rzeczy aktualne. Jakie są postulaty chwili?

Tak jak odrodzenie Polski jest związane z pewnym układem sił w chwili podpisywania Traktatu Wersalskiego, tak i czynnikami zewnętrznemi naszego bezpieczeństwa pozostaje podobny układ. Otóż od 1919 roku dużo się zmieniło. Traktaty, z Wersalskim na czele, pozostają jeszcze w mocy, ale duch ożywiający je słabnie. Ideą traktatów była likwidacja niebezpieczeństwa niemieckiego. Jedną z istotnych części systemu politycznego, utworzonego w tym celu, jest sojusz francusko-polski. Jeżeli duch, ożywiający dzieło traktatów osłabł, to przedewszystkiem właśnie tu, duch ożywiający przymierze francusko-polskie prawie że wygasł. Już *des beaux esprits* obecnej francuskiej polityki zauważają „luki" w Traktacie Wersalskim. Opanowanie rządów i opinji francuskiej przez czynniki, które prą do pozytywnego zbliżenia francusko-niemieckiego, które jest tylko fazą wstępną otwartej kampanji o hegemonję Niemiec w Europie, nie zaszło tak daleko, jak się zdaje. Niemniej, nie wyłączając możliwości reakcji, musimy ocenić wartość sojuszu francuskiego po trzeźwemu. W tem świetle utracił on szereg cech, których od niego potrzebowaliśmy.

Polityka francuska zupełnie jasno nie uznaje już za dogmat łączności między bezpieczeństwem Renu i Wisły. To *iunctim* zostało już zatracone w Locarno. To, co się dzieje dziś, to wynik rozwoju logicznego tego, co tam zapoczątkowano. Locarno, ogłoszone nieledwie za ósmy cud świata, w gruncie rzeczy miało za najważniejszy rezultat podkopanie owych słupów, na których się opiera bezpieczeństwo Europy.

Najpierwszem zadaniem naszej polityki musi być liczenie się z tem i znalezienie środków zaradczych.

Powyżej wspominaliśmy nie o Traktacie Wersalskim, ale o traktatach świadomie, bo Traktat Wersalski dotyczy tylko Renu i Wisły, podczas gdy bezpieczeństwo Europy opiera się również i na tych traktatach, które dotyczą doliny Dunaju. Można powiedzieć, że opiera się na trzech punktach, leżących nad Renem, Wisłą i Dunajem.

Świadomość tego winna być podstawą polityki polskiej. Jest naszym żywotnym interesem, by ten stan rzeczy, jaki istnieje nad Dunajem obecnie, nie został naruszony. Być może, że stan ten jest krzywdzący, ale przecież usunął on stan daleko bardziej krzywdzący, a przedewszystkiem daleko bardziej sprzeczny z naszemi interesami. Względy na osobiste sympatje czy antypatje do pewnych narodów nie mogą tu odgrywać żadnej roli.

Jeżeli bezpieczeństwo europejskie traci podstawę nad Renem, to powinno być jeszcze bardziej wzmocnione nad Wisłą i Dunajem. Wzmocnienie nad Wisłą, to sojusz z Czechosłowacją, wzmocnienie nad Dunajem to inicjatywa Polski w kierunku reorganizacji i wzmocnienia Małej Ententy. Polska winna stać się naczelnym bojownikiem nienaruszalności traktatów. Wzmocnić i zachęcić do akcji wszelkie czynniki, które w jakikolwiek sposób mogą widzieć swój interes w utrzymaniu trartatów: taka polityka zasługiwałaby zaprawdę na miano mocarstwowej. System dyplomatyczny utworzony w ten sposób winien się stać zupełnie niezależny od Zachodniej Europy. Jeżeli Ren zaniedbuje Dunaj i Wisłę, to trzeba, żeby umiały one dać sobie radę, a nie wchodziły w dezorjentacji na manowce polityczne, z których się potem trzeba wycofywać.

Polityka nasza, nie decydując się na inicjatywę i niezależność, czasem obawiając się koniecznych koncesyj, przy ciągle zmieniających się ministrach i orjentacjach, szczególnie zaniedbała swój stosunek do Małej Ententy. Gdy w czasie zebrań locarneńskich, kiedy zdecydowano uniezależnienie gwarancji granic zachodnich Niemiec od granic wschodnich, współpraca pp. Beneša i Skrzyńskiego pozwalała przewidywać silną konsolidację wspólnego frontu Czechosłowacji i Polski nad Wisłą i Odrą. Tymczasem możliwość ta nie została rozwinięta.

Brak poczucia rzeczywistości politycznych w niektórych naszych kołach doszedł do tego, że w poważnych pismach pisano ni mniej ni więcej tylko o wykorzystaniu naszych dobrych stosunków z Bukaresztem, dla pośredniczenia w zbliżeniu węgiersko-rumuńskiem. Naturalnie dla Węgier sens takiego porozumienia jest taki, że spodziewają się zmusić w ten sposób Czechosłowację do rewizji granic. Polska zatem miałaby współdziałać w rewizji traktatów i w osłabieniu Czechosłowacji. Jaka jest orjentacja Węgier, tośmy mogli poznać na ostatniej serji Ligi Narodów, przy okazji demonstracyjnego wniosku niemiecko-chińskiego w sprawie art. 19 Paktu Ligi. Na to nikt nic nie poradzi, że Węgry są przeciwnikami politycznymi interesów, z któremi Polska musi współdziałać, bo są jej naturalnemi sojusznikami.

Jeżeli nasze błędy mają być naprawione i jeżeli nie chcemy znaleźć się w kompletnem odosobnieniu, musimy pracować usilnie nad zmienieniem podstaw bezpieczeństwa, naruszonych przez zmienność polityki francuskiej.

Wzmocnić je może jeno blok państw zagrożonych przez niebezpieczeństwo niemieckie, przez Paneuropę na gruncie gospodarczym i przez rewizję traktatów na gruncie politycznym. Znaleźć i przeprowadzić formułę, oto zadanie dla naszej inicjatywy politycznej.

Jeżeli to się nam uda, to doczekamy jeszcze czasów, kiedy Ren będzie nam dziękował.

ADVR

IMPERJALIZM AMERYKAŃSKI

I

CORAZ częściej pojawia się, bądź daje się odczuć w literaturze politycznej nuta obawy i niepokoju: „Zmierzch Europy“. Europa jest jeszcze wprawdzie ośrodkiem intelektualnej cywilizacji świata, sterana jednak i zmaltretowana fizycznie tak potężnym kataklizmem dziejowym, jakim była wielka wojna, musiała ona w dziedzinie cywilizacji materjalnej uchylić czoła przed współzawodnikiem młodym, energicznym, rosnącym w potęgę i siłę z nieznaną dotychczas szybkością — przed Stanami Zjednoczonemi Ameryki Północnej. Nie jest więc bynajmniej przesadnem twierdzenie, że ekonomiczny ośrodek świata opuścił Europę, aby ostatecznie osiedlić się w Ameryce. Po stwierdzeniu tego doniosłego faktu samo przez się nasuwa się pytanie, w jaki sposób Stany Zjednoczone doszły do obecnego stopnia potęgi.

Odpowiedź jest jasna: Ameryka stosowała konsekwentnie i umiejętnie politykę zagraniczną, politykę imperjalistyczną. Czy dążenie skłaniające pewne mocarstwa do ciągłego i nieograniczonego rozszerzania swych terytorjów i wpływów, czy imperjalizm przynosi korzyść tym państwom? Zdania są podzielone. Należy jednak stwierdzić istnienie poważnej grupy ekonomistów, godnie reprezentowanej w Stanach Zj. przez prof. Moon'a, którzy utrzymują, że propaganda imperjalistyczna wyolbrzymia często przypuszczalne zyski, popierając politykę różniczkowych taryf celnych i monopolu kolonjalnego. Wynikiem tej przesady, utrzymuje prof. Moon, jest fakt, że pragnąc osiągnąć nieznaczne stosunkowo korzyści z handlu kolonjalnego, wielkie mocarstwa ponoszą chętnie duże wydatki wojskowe bez zastanowienia, narażając często na niebezpieczeństwo swoje już zdobyte najważniejsze rynki, oraz pokój świata.

Nie jest mojem zadaniem rozpatrywać kwestję słuszności czy niesłuszności polityki imperjalistycznej wogóle, ograniczę się tylko do stanowiska objektywnego, że państwo, które jest jednocześnie śpichlerzem zbożowym, kopalnią węgla i żelaza, składem bawełny, z którego czerpią wszystkie narody, nie może, tak jak niegdyś, zamykać się na swoim kontynencie, zachowując kompletną obojętność na wszystko, co się dzieje w czterech pozostałych częściach świata; nie można się odosobniać. Stany Zj. czują, że „*puissance oblige*“. Wybornie charakteryzuje to Paul Boutmy w swej książce „*Psychologie du peuple Americain*“: „Siła stwarza Ameryce prawo, prawo przechodzi w żądanie, żądanie przeistacza się w obowiązek wypowiadania się we wszystkich kwestjach, które dotychczas rozwiązywało porozumienie państw europejskich“.

Ten wybujały patrjotyzm oraz bogactwo i ekonomiczny rozrost Stanów Zj. usprawiedliwiają w pewnej mierze istnienie imperjalizmu amerykańskiego, o ile imperjalizm wogóle usprawiedliwionym być może.

Cechą imperjalizmu amerykańskiego jest brak tradycji. Imperjalizm Stanów Zj. uzasadnia doktryna bardzo młoda, rozwój jej bowiem datuje się zaledwie od wojny Filipińskiej (1898). Ameryka dla swych imperjalistycznych dążeń znalazła wzór w imperjalizmie angielskim. Zasadniczym celem imperjalistów angielskich było, jak wiadomo, kompletne opanowanie Indyj Wschodnich. Synowie Albionu postarali się osiągnąć ten cel, koncentrując w swych rękach władzę nad wszystkiemi ważniejszemi punktami strategicznemi Oceanu Indyjskiego, oraz nad morzem Śródziemnem. Jest to t. zw. „polityka punktów oparcia“. Analogja między imperjalizmem brytyjskim i amerykańskim rzuca się w oczy — przejawia się ona w trzech punktach:

1) jak Anglja, tak i Stany Zjednoczone, chcąc zapewnić sobie hegemonję nad pewnemi terytorjami, dążą wpierw do opanowania oblewających je oceanów (Anglja — Ocean Indyjski; Stany Zj. — Ocean Spokojny),

2) następnie zapewniają sobie przewagę na morzach zamkniętych, leżących na drodze do opanowanych oceanów (Anglja — morze Śródziemne; Stany Zj. morze Karaibskie), oraz absolutną kontrolę kanałów, łączących te morza z oceanami (Anglja — Kanał Sueski; Stany Zj. Kanał Panamski),

3) wreszcie tworzą na głównych szlakach morskich cały szereg baz nawalnych, składów amunicji i stacyj węglowych, mających zapewnić stałą i szybką komunikację.

Ze stanowiska moralnego cechą najbardziej charakterystyczną imperjalizmu amerykańskiego jest jego nieszczerość. Jest on, jakby to powiedzieli Francuzi, „*inavoué*“. Pomimo krzyczących faktów, amerykańskie sfery „oficjalne“ stale i uparcie przeczą jego istnieniu. Tu właśnie przejawia się cała dwulicowość zagranicznej polityki Stanów Zj. i na tę właśnie cechę ich polityki powinna opinja europejska zwrócić specjalną uwagę.

Dla każdego szanującego się Amerykanina ludzkość dzieli się na dwie grupy: Amerykanów i nieamerykanów. Wyższość pierwszej grupy nad drugą jest oczywiście aksjomatem, nie nadającym się do dyskusji. Instytucje amerykańskie są najlepsze z najlepszych. Ameryka nie ma przeszłości?! Dobrze, ale ma przyszłość. Istnieją, jak mówi Roosevelt, „ideały amerykańskie“ i tylko dzięki urzeczywistnieniu tych ideałów zapanują na ziemi pokój i sprawiedliwość. Od tego rozumowania aż do narzucenia innym „ideałów amerykańskich“ prezydenta Roosevelta odległość jest niewielka.

Jako przykład oficjalnej wykładni polityki amerykańskiej, kategorycznie sprzecznej z istniejącym stanem rzeczy, przytoczę fragment z pożegnalnego przemówienia prezydenta Stanów Zj. Coolidge'a, w Senacie amerykańskim w dn. 3.XII.1928:

„Nie jesteśmy imperjalistami. Pragnę ponownie stwierdzić dla zbudowania nieśmiałych i podejrzliwych, że kraj ten (St. Zj.) nie jest ani militarystyczny, ani imperjalistyczny. Wielu z tych, którzy w Stanach Zj. i zagranicą robią nam z tego powodu ciągłe zarzuty, należy właśnie do ludzi, którzy najchętniej widzieli naszą pokojową interwencję w krajach ościennych. Z udzielonego poparcia wynikają oczywiście dla nas zainteresowania zagranicą. O ilebyśmy odmówili poparcia i opieki tym zainteresowaniom, odstąpilibyśmy przez to od zasad suwerenności państwowej... Co się tyczy państw mniejszych, nie mamy co do nich żadnych zamiarów agresywnych. Pragniemy jeszcze bardziej od nich samych uszanować ich suwerenność“.

II

Widzimy więc, że imperjalizm amerykański może przybierać rozmaite formy zależnie od tego, która z nich wyda mu się w danym wypadku naj-

dogodniejsza do osiągnięcia celów ekspansji. Środkiem najbardziej niezawodnym, umożliwiającym państwu imperjalistycznemu ugruntowanie swych wpływów w krajach ościennych jest bezwątpienia ekspansja ekonomiczna. Wyjątkowo dogodne położenie Stanów Zj. ułatwia im postępy w tym kierunku. Na pomyślne konjunktury, jakiemi cieszą się Stany Zj., składają się przedewszystkiem:

1) Warunki naturalne, a więc powierzchnia 3.000.000 km. kw. zgrupowanych harmonijnie po obu stronach doliny środkowej b. żyznej, klimat urozmaicony, umożliwiający uprawę wszelkiego rodzaju roślin, nadające się do budowy portów wybrzeża, dobrze rozwinięty system rzeczny, oraz poważne pokłady metali, węgla i ropy.

2) Wyposażenie kraju w narzędzia, odpowiadające najnowszym wymaganiom techniki. Kombinacja bogactw naturalnych, dobrego wyposażenia w kapitał i dobrze zorganizowanych sił roboczych przyczyniła się do fenomenalnego wprost rozwoju amerykańskiej produkcji. Zyski, które z tego wynikły, powiększone przez zyski, które Ameryka osiągnęła podczas wojny, zapewniły Stanom Zjednoczonym stanowisko wyjątkowo pomyślne.

Stany Zj. wyzyskały to stanowisko, rozszerzając arenę swych wpływów na bezpośredniego swego sąsiada, na Kanadę. Przyroda obdarzyła Kanadę, podobnie jak i Stany Zj., we wszelkiego rodzaju bogactwa naturalne. Rozwijała się też ona równolegle ze Stanami tak pod względem ekonomicznym, jak i społecznym. Oba kraje łączą wreszcie węzły językowe, rasowe i geograficzne.

Wszystkie te czynniki wywołały emigrację kapitału amerykańskiego do Kanady. Emigracja ta stała się tak poważna, że wyparła ona prawie zupełnie kapitały angielskie, o czem świadczą następujące dane:

Inwestycje zagraniczne w Kanadzie

	1918	1923
Anglja	77%	42%
Stany Zj.	17%	52%

Skrajni imperjaliści angielscy widzą z niepokojem, jak kapitał amerykański wypiera kapitał angielski z przedsiębiorstw kanadyjskich. Lecz jakiekolwiek protesty czy dyskusje byłyby w tym wypadku bezcelowe. Kapitał nie zna więzów narodowościowych; możliwości inwestycyjne w Kanadzie, bez względu na granice polityczne, pociągnęły ku sobie kapitał amerykański. Posłuszny żelaznym prawom ekonomicznym proces ten dokonał się bez jakiejkolwiek pomocy siły zbrojnej. Bez względu na zmiany rządów tak w Ottawie, jak i w Waszyngtonie Kanada jest i będzie w orbicie ekonomicznego promieniowania Stanów.

III

Nie wszędzie jednak imperjalizm amerykański przybiera równie łagodne formy. Istnieje teren, na którym Stany potrafią poprzeć w bardziej „wymowny" sposób swoje dążenia. Terenem tym jest Ameryka Łacińska. Polityka Stanów Zjednoczonych w Ameryce Łacińskiej opiera się na dwóch bliźniaczych doktrynach, które stanowią niejako granitowe podstawy jej działania. Są to: doktryna Monroego i Panamerykanizm.

Całe życie międzynarodowe Ameryki łacińskiej od chwili zrzucenia przez nią jarzma hiszpańskiego zależy prawie jedynie i wyłącznie od doktryny Monroego. Datuje ona od roku 1823, — od sławnej deklaracji prezydenta Monroego. Była ona niejako odpowiedzią Ameryki na plany „Świętego przymierza", przewidujące interwencję państw europejskich w zbuntowanych kolonjach hiszpańskich Ameryki Łacińskiej.

Oświadczenie prezydenta Monroego miało tę treść: Wszelka dążność państw ościennych w kierunku ponownego zaboru, czy też kolonizacji wolnych krajów Ameryki Łacińskiej będzie uważana przez Stany za groźbę skierowaną przeciwko ich własnej niepodległości. Deklaracja ta, jako zgodna z ówczesnemi zapatrywaniami państw południowo - amerykańskich, zyskała jednogłośne poparcie. Wkrótce jednak prysły złudzenia Ameryki Łac. a to wskutek przeobrażeń, którym z biegiem czasu uległa doktryna Monroego. W pierwotnem swojem założeniu była ona teorją obrony, mającą na celu solidarne zagwarantowanie niepodległości wszystkich nowych państw Ameryki Południowej oraz jej obronę przeciwko agresywności europejskiej. Od połowy jednak w. XIX sytuacja się zmienia. Ameryka łac. spostrzega, że o ile doktryna Monroego strzegła integralności jej granic przed kolonjalnemi ambicjami Europy, to nie stanowi ona żadnej gwarancji przeciwko dążnościom imperjalistycznym republiki anglosaskiej, która ją proklamowała.

W miarę wzrostu swej potęgi Stany poczęły coraz arbitralniej przeciwstawiać Europie, a narzucać Ameryce Łac. swoją doktrynę własną, jednostronną, pozbawioną podstaw prawnych, opartą jedynie na sile zbrojnej. Bismarck, który się na tem znał, określił słusznie doktrynę Monroego jako „impertynencję międzynarodową". Z protekcyjnej doktryna staje się dominującą i używa często przemocy, aby państwom ościennym narzucić swoje postulaty, jak to w dalszym ciągu stwierdzimy w całym szeregu państw Ameryki Centralnej.

Istnieje stałe nieporozumienie między Stanami a Ameryką Łacińską co do interpretacji nadawanej doktrynie Monroego. Ameryka Łac. uważa ją za wzajemną gwarancję solidarności i nietykalności dla wszystkich republik amerykańskich. Przeciwnie Stany Zj. oświadczają, że doktryna Monroego jest zasadą kardynalną i wyłączną ich własnej polityki, której stosowanie i interpretowanie do nich tylko należy. Jeżeli pewne sfery Ameryki Łac. nie mają zaufania do polityki Stanów, co zresztą Amerykanie uważają za czarną niewdzięczność i czego zrozumieć nie mogą, to do tej pory nie pojawiła się żadna reakcja przeciwko monroestycznej koncepcji Rządu i Senatu waszyngtońskiego, która poważnie kwestjonuje niepodległość i nietykalność granic Republik łacińskich.

Nie wolno im zapominać, że Stany Zj. prowadzą politykę opartą na tej właśnie koncepcji, politykę, której rezultatami były rozbiory Meksyku i Kolumbji wbrew istniejącym traktatom.

IV

Drugą z kolei podstawową doktryną, na której opiera się polityka Stanów w Ameryce Łacińskiej jest Panamerykanizm. Idea ta powstała na tle przyczyn natury tak materjalnej, jak i sentymentalnej, a propaguje połączenie się wszystkich państw kontynentu amerykańskiego w celu skoordynowania ich interesów i wzajemnego moralnego zbliżenia. W tej ewolucji pojęć przewaga Stanów jest widoczna i ta właśnie przewaga sta-

nowi główną przeszkodę w zrealizowaniu panamerykanizmu, który w interpretacji, nadawanej mu przez Stany, uważany jest przez wiele państw południowo-amerykańskich za instrument *yankes*'owskiego imperjalizmu.

Bezpośrednim sąsiadem Stanów i przez to samo najbardziej narażonym na zakusy ich imperjalizmu jest Meksyk. Stany, przekształcając się w imperjum kolonjalne kosztem Hiszpanji, przeniosły na kraje o języku i tradycji hiszpańskiej całą nienawiść, którą żywiły do metropolji. Po długiej wojnie, Stany stają się w roku 1849 panami Texasu, Nowego Meksyku i Kalifornji. Obrabowanie Meksyku z tych bogatych prowincyj jest jedną z najbardziej krzyczących niesprawiedliwości dziejowych, niesprawiedliwości, która nawet w samych Stanach poruszyła opinję publiczną, czego dowodem jest zdanie wielkiego demokraty amerykańskiego, Henryka Clay'a, który uważa wojnę meksykańską za „szczyt grabieży i zbrodni międzynarodowej".

Dlaczego Meksyk ściąga na siebie najwięcej ciosów imperjalizmu amerykańskiego? Dlatego, że jako najpotężniejszy z bezpośrednich sąsiadów, pomimo ciągle trapiących go rewolucyj wewnętrznych, przeciwdziała dotąd najskuteczniej amerykańskiej ekspansji na południe. Na wyjątkowe znaczenie Meksyku dla Stanów składają się czynniki następujące: 1) bezpośrednie sąsiedztwo geograficzne, 2) rozległość Meksyku, którego powierzchnia równa się $^1/_4$ powierzchni Stanów, 3) bogactwa naturalne, jak: srebro, złoto, nafta ($^1/_5$ produkcji światowej), miedź, ołów *ect.*, 4) możliwości dla inwestycyj zagranicznych, z czego zresztą Stany już skorzystały, jak to ujawnia ich statystyka:

1902	1912	1924
$ 80.000.000	$ 233.000.000	$ 700.000.000

Do amerykańskich firm, najwięcej zainteresowanych w Meksyku, należą cztery firmy naftowe oraz firmy eksploatujące miedź. Co do innych dziedzin, w których kapitały amerykańskie odgrywają poważną rolę, to wymienić należy meksykańskie kolejnictwo, w którem $^1/_3$ zaangażowanego kapitału jest amerykańska, oraz posiadłości ziemskie, których lwia część należy do właścicieli amerykańskich (275.000.000 $).

Jak widzimy, inwestycje Stanów w Meksyku przedstawiają się imponująco. Nie zagrażały one jednak niepodległości meksykańskiej aż do czasu, kiedy w Meksyku rozpoczęły się zaburzenia wewnętrzne, które stały się powodem bezpośredniej ingerencji Stanów, zgóry zresztą przygotowanej.

Nie będziemy opowiadali dla braku miejsca czasów Diaza i Huerty.

Stosunki amerykańsko-meksykańskie zaognił teraz, niemniej ważny zatarg o konstytucję meksykańską, ogłoszoną w r. 1917 przez rząd Carranzy. Konstytucja ta naruszyła interesy amerykańskie w Meksyku, upaństwowiając jego bogactwa mineralne i zabraniając cudzoziemcom nabywania posiadłości i koncesyj kopalnianych, naftowych i przemysłowych, pozostawiając cudzoziemcom możność zrezygnowania ze swych praw na korzyść rządu.

Najważniejszą kwestją dla Stanów była oczywiście kwestja naftowa, rząd meksykański bowiem nałożył podatki na produkcję i sprzedaż, oraz obłożył specjanemi taryfami tereny naftowe, wszystko to pod groźbą konfiskaty. Poparte przez rząd Waszyngtoński, syndykaty naftowe amerykańskie odmówiły rządowi Meksyku prawa nacjonalizacji terenów naftowych, motywując swoje postępowanie istnieniem umów, zawartych z rządami poprzedniemi.

W ten sposób kwestja meksykańska staje się kwestją imperjalizmu ekonomicznego: czy Meksyk ma prawo prowadzić eksploatację swych mineralnych zasobów według prawodawstwa meksykańskiego, czy też nie. Stanowisko tak rządu, jak i syndykatów naftowych amerykańskich staje się coraz bardziej agresywne. Syndykaty tworzą *„National Association for the protection of American Rights in Mexico"*, przeciwstawiając w ten sposób zorganizowaną siłę rządowi Carranzy, nowy zaś gabinet prezydenta Hardinga popiera stanowisko syndykatów całym swoim *prestige*'em.

Nie sądzone było widocznie Meksykowi zaznać spokoju. W 1920 roku Carranza obalony został przez rewolucję, kierowaną przez Obregona. Pomimo, że Obregon okazał się zdolnym administratorem, który potrafił wprowadzić nareszcie jaki taki porządek do Meksyku, pomimo że dołożył wszelkich starań w kierunku niewprowadzania natychmiastowego w życie konstytucji 1917 roku, nie odrazu zyskał on uznanie Stanów. Uznanie to jednak było konieczne dla otworzenia zapotrzebowaniom meksykańskim rynku finansowego Stanów.

Obregon, zrozumiawszy konieczność ustąpienia z dotychczas zajmowanego stanowiska, poczynił żądaniom amerykańskim następujące koncesje: 1) program, przewidziany przez konstytucję 1917 r., stosować się będzie tylko do majątków nabytych po roku 1917. 2) Odszkodowania należne Stanom za szkody, wyrządzone obywatelom amerykańskim w Meksyku podczas burzliwych lat 1910 — 1920, oraz odszkodowania należne Meksykowi za ekspedycję gen. Pershinga i okupację Vera-Cruz, będą uregulowane przez mieszaną komisję.

Kupiwszy sobie w ten sposob uznanie Stanów, Obregon został obalony w 1923 r. przez rewolucję De la Huerta, dawnego członka gabinetu Obregona. Rewolucja ta była finansowana przez potężny angielski koncern naftowy *„Mexican Eagle"*, kontrolowany przez również angielską grupę *„Royal-Dutch, Shell"*. Nic więc dziwnego, że amerykański magnat naftowy, dyrektor *„Mexican Petroleum"*, p. Doheny wręczył Obregonowi $ 5.000.000, w celu uśmierzenia szerzącej się rewolucji. W ten sposób Meksyk stał się terenem walk nietylko meksykańskich stronnictw politycznych, lecz również, a raczej przedewszystkiem wpływów syndykatów naftowych angielskich z jednej strony, a więc *„Mexican Eagle"*, *„Royal Dutch, Shell Combine"*, — amerykańskich z drugiej, — jakoto: *„Mexican Pete"*, *„Standard oil"*, *„Pan-American Oil transport"*, i in.

O intensywności tej walki świadczy już sama wysokość naftowych inwestycyj amerykańskich w Meksyku, które w 1925 r. wynosiły 7.000.000 dolarów.

W r. 1924 został wybrany na prezydenta Meksyku Calles, który energicznie zabrał się do rzeczy: 1) przywrócił on pełną wartość artykułowi 27 konstytucji 1917 r., 2) wykreślił t. zw. „strefy naftowe" o 100 klm. od granic kontynentalnych i 50 od granic morskich, w których to strefach nie wolno cudzoziemcom, nawet posiadaczom akcji

towarzystw meksykańskich, nabywać terenów. 3) cudzoziemcy, pragnący nabyć tereny naftowe wewnątrz kraju, mogą to uskutecznić tylko stając się członkami towarzystw meksykańskich. Muszą pozatem zrezygnować z wszelkich praw uciekania się pod opiekę swych rządów, oraz administrować swojemi majątkami według prawodawstwa meksykańskiego.

Owe, zdawałoby się, zupełnie usprawiedliwione zarządzenia rządu prezydenta Callesa, mające na celu ochronę narodowego bogactwa przed zachłannością obcego kapitalizmu, wywołały w Stanach Zjednoczonych jednogłośne oburzenie opinji publicznej, pod której presją rząd amerykański zaprotestował oficjalnie. Rząd meksykański musiał ustąpić przed siłą, anulując sławetny paragraf 27 konstytucji 1917 r. Stosunki jednak między dwoma krajami pozostały nadal naprężone.

Oczywiście rewolucja meksykańska nie obeszła się bez gwałtów i nadużyć. Wielu właścicieli ziemskich, tubylców, czy cudzoziemców, Amerykanów w szczególności, zostało bezprawnie pozbawionych mienia i pomordowanych. Należy jednakże pamiętać, że rewolucja ta była wybuchem uczuć narodu, który się czuje zagrożony przez potęgę dolara, i który chce być wolny.

(Dok. n.) BOHDAN ZANIEWSKI

PAMFLECISTA CZY ALTRUISTA?

„Właściwie to on był altruistą, mój radco, tylko mu się przejściowi ludzie niepodobali!..“

WYSZŁY ostatnio „Pamflety“ A. Nowaczyńskiego (Nakładem księgarni Hoesicka, 1930 r., str. 343), które właściwie nie są pamfletami, w ścisłem znaczeniu tego słowa, gdyż większość ich stanowią studja literackie i szkice publicystyczno-historyczne (w podtytule czytamy: „Studjów i szkiców Tom VI“).

Można jednak i tego rodzaju pracom nadać charakter pamfletu, wyzyskać tematy literackie, bądź historyczne w celu rozprawienia się z ludźmi (ideałami, pojęciami, przekonaniami i t. p.), którzy się nam z tych lub innych względów „niepodobają“— w celu wychłostania ich, ośmieszenia, zdemaskowania. W „studjach i szkicach“ literackich Nowaczyńskiego było zawsze dużo takiego pierwiastku pamfletowego, jest go również sporo i w tym VI-ym ich tomie.

Na tych drożdżach pięknie wyrasta u Nowaczyńskiego wszelkie ciasto literackie, zarumienia się i nabiera smaku korzennego...

Żeby przekonać się, jak się odbywa to „wyrastanie“, weźmy, na próbę, jeden z najpiękniejszych szkiców tego tomu p. t. „*Ignis Ardens*“, poświęcony pamięci Słowackiego.

Ktoś inny, piszący z tego samego powodu (sprowadzenie zwłok wieszcza do kraju), a miłujący podobnie jak Nowaczyński twórcę „Króla-Ducha“, zapomniałby o całym świecie i oddałby się całkowicie uczczeniu przedmiotu swego ukochania. Nowaczyński, przeciwnie, w zapale gorącej miłości pamięta o masie spraw ubocznych, korzysta z dobrej sposobności, by zarzucić Mickiewiczowi np. zbytek surowości w ocenie twórczości biednego „gruźlika“, następnie rozprawia się z romantyzmem wogóle, jako z „chorobą wieku“, i zaraz potem rozwija pogląd, że „puścizna twórcza Słowackiego może stać się najmocniejszem *antidotum*“ na despotyzm utylitarystycznej, antyprometejskiej literatury współczesnej, że pora wracać od „zjadaczów chleba“ i „wytwórców razowca duchowego“ do karmazynowych poematów i t. d. W dalszym ciągu wsiądzie na karki „rzeczoznawców i ekspertów“, „mólów i mułów książkowych“, którzy zagarnęli skarbiec naszego romantyzmu i swoją „zawodową dewocją, banalnym entuzjazmem i głupowatą „obroną“ to „Adama“ to „Juljusza“ przed pseudo-wrogami“— obrzydzili żywym ludziom to wszystko.

Porusza słowem tu Nowaczyński mnóstwo zagadnień i spraw, związanych wprawdzie ze Słowackim oraz z chwilą powrotu jego zwłok do Ojczyzny, które wszakże nietylko jego mają na względzie, lecz służą głównie autorowi do załatwiania porachunków z tem, co mu krew burzy, co go do pasji doprowadzałoby zawsze, choćby nawet bez ujmy było dla Słowackiego. Cóż dopiero, gdy jest to z widoczną jego krzywdą! (zresztą mogłoby mu chodzić nietylko o niego). Wówczas wzrasta wzburzenie ducha, a z niem potęguje się również werwa, czy napastniczość satyryczno-polemiczna. Mniej gorącemu, obojętniejszemu duchowi—wystarczałoby jedno jakieś ujemne odezwanie się np. o tej „kaście uczonych“, która niezawsze szczęśliwie przedstawia i komentuje naszych „druidów i wajdelotów“.—Nowaczyńskiemu trzeba ich bardzo wiele, żeby się uspokoić, iż w tej mierze zrobił sumiennie wszystko, co się należało. I tak, po „mólach i mułach“, przyjdą: „przyczynkowicze“, „monografomani“, „hemoroidalni badacze i pedagodzy“, „obiecujące suplenty“, „nekrofilolodzy“, „urzędnicy biograficzni“, „plebeje, czepiający się ducha“ etc...

Ta barwna kaskada dotkliwych epitetów i urągań, przezwisk i drwin, — co wszystko razem tak ożywia każdą pracę Nowaczyńskiego — wcale nie wypływa z duszy opętanej jakiemś złem, wrogiem uczuciem: nieraz jest to automatycznym wylewem nadmiaru soków żywotnych, niekiedy jest wulkanicznym wybuchem namiętnego serca, często bardzo bierze swoje źródło w miłości gry żartobliwej i podniecającej zabawy.

Zaryzykuję tu nawet paradoks, iż Nowaczyński, umiejący, jak nikt u nas, wytrzepać ludziom tak skórę, że nie pozostanie na niej ani jednego całego kawałka, — jest raczej... altruistą, niż niesamowitym potworem, dyszącym i ziejącym jadem nienawiści względem ludzi.

Nie może nim być człowiek, który śmieje sid w głębi duszy, do rozpuku z tych, kogo naprzód sam wpakuje w jakąś zabawną sytuację. Powiem więcej—jak to się stanie, gdy Nowaczyński kogoś groteskowo przedstawi, to wówczas, nawet ludzi, których niema za co kochać, zaczyna jakby lubić, a to z powodu, że stali się źródłem uciechy, bezinteresownej rozkoszy estetycznej.

Czy można np. nienawidzieć p. redaktora Beaupré'go z „Czasu“, gdy się go widzi na własnym pogrzebie, „niosącego wieniecc z czarno-żółtemi wstęgami—bladego jak chusta, zabeczanego“. Alko

„generała Or-Ota“, który „wielki i potężny jak Mohort“, wygłasza „rapsod prześliczny“ z balkonu Teatru Wielkiego? (p. „Mój Pogrzeb“).

Nie, tu o prawdziwej, okrutnej nienawiści mowy być nie może! Można tym i owym ludziom wiele zarzucać, gdy jednak ich wizje, w sposób podobnie ucieszny, potrafi się wywoływać, to się im jednocześnie wiele przebacza i stają się oni poniekąd nawet sympatycznymi...

A jeśli przypomnimy sobie, że ów p. redaktor Beaupré — wręcz mściwie zachował się wobec Nowaczyńskiego, w sprawie nagrodzonej na konkursie krakowskim jego ostatniej sztuki („Wiosna Narodów“), to, doprawdy, jakże bladą wyglądać będzie nienawiść naszego pamflecisty, w porównaniu z nienawiścią, jaką względem niego żywią liczni jego antagoniści, nieposiadający daru rozbrajania samych siebie z pomocą monumentalnego żartu, zdrowego śmiechu i dowcipnej groteski.

Nowaczyński nie jest egoistą, nie jest ponurym mizantropem, w samotności zgorzkniałego ducha przemyślającym o najlepszych sposobach nienawidzenia wszystkiego, co żyje; jest on, przeciwnie, miłośnikiem życia, odczuwa wciąż głód i pragnienie istot żywych, poszukuje ludzi nieustannie, pragnie zarówno złych jak dobrych, by nasycić żądzę serca swego, podnieść jego patos, wypełnić je treścią ludzką, żywą.

Dlatego tak zawzięcie i zamaszyście daje się we znaki wszystkiemu, co hamuje życie, dlatego tak bez pardonu chłoszcze wszelką sarmacką apatję, gnuśność, pedantyzm; dlatego tak wybucha lawą złorzeczeń na tych wszystkich, co są zakałą i oszpeceniem życia. Nowaczyński kocha człowieka, tępi jednak niemiłosiernie te jego odmiany, które są zaprzeczeniem człowieczeństwa.

Gdy w tem nieukojonem dążeniu do człowieka spotyka się z Pochroniem bądź z Zołzikiewiczem, od których przecież roi się nasze życie — to nie wchodząc z nimi w układy i kompromisy (trudno bowiem pomylić się co do nich) wali do nich odrazu z browninga, lub ćwiczy szpicrutą. „Wobec Chama niemożna być Chamfortem“ — jak powiada w wywiadzie z samym sobą (p. „Pamflecista“).

Cóż dopiero, gdy chodzi już nie o wstręty osobiste, lecz kiedy ta czerń, której „całe życie jest paszkwilem“, „widocznie idzie na Ojczyzny zgubę“, wówczas wyznaje bez zastrzeżeń, że „ostrzegać choć paszkwilem mam sobie za chlubę“.

Zasługi swoje w tej mierze przedstawia Nowaczyński z niezwykłym humorem w swoim „Wywiadzie”, a że są one w istocie duże, może świadczyć chociażby to, że za to wszystko nasi Pochronie obmyślili dla niego najwyższą nagrodę w postaci... kąpieli w gliniance.

Uroczystość odbyła się niezupełnie podług programu, Nowaczyński wszakże do nikogo niema żalu i, niezrażony wdzięcznością rodaków, wychodzi z czterech ścian znów na świat — jak dawniej wyprostowany i trzymający się w „formie“. Wychodzi na nowe zapasy, jak dawniej ich spragniony, i troszczy się głównie o to, by nie zabrakło zapaśników na arenie, byle tak łatwo nie kapitulowali i szybko się nie przemęczali.

I jest to dowodem jego tężyzny duchowej, bujności jego natury miłującej życie, znającej wartość moralną życia niebezpiecznego. Stąd, z tego, że on wie poco żyje i nie znosi bylejakiego życia, pochodzi to, iż trwa wciąż, od długiego szeregu lat, na tym samym odcinku, podczas gdy inni dają za wygraną, zmieniają fach, partje, przekonania i wiarę. Trwając niezmiennie na tym samym odcinku, walczy z niesłabnącym zapałem, zapamiętale i bez pardonu, z tem wszystkiem, co uważa za zgubne dla polskości jako więzi społecznej, jako rasy, jako dziejowej całości.

I tak czyni nie dlatego, że wziął na siebie zobowiązania partyjne, że nosi taką a nie inną liberję, on bowiem żadnej nigdy nie nosił i najpewniej nosić nie będzie, — ale dlatego, że to wynika z jego nieprzymuszonej woli, jest wyrazem jego wiary, sprawą wolnego wyboru.

Jest tak głęboko przekonany o wielkości sprawy, której jest bojownikiem, tak mocno wierzy w wartość swojej działalności — czemu daje wesoły wyraz w „Wywiadzie“, — że to mu wystarcza „do szczęścia“, nie żywi więc powszednich ambicyj, nie zazdrości chwały ludziom o „bajecznej karjerze“ oraz wawrzynów samemu „Komandorowi“ Ehrenbergowi...

Owszem, wszystko to, czem się u nas dzisiaj wielu tak nadyma i pyszni, jest, w oczach jego, jedną niezrównaną parodją, którą losy zsyłają wprawdzie nieraz na klęskę narodów, ale i na uciechę oraz wzmożenie żywotności takich jak on, którzy z przeogromu tej parodji umieją nietylko śmiać się i szydzić, lecz potrafią także wydobyć z niej cenną naukę dla prawdziwego człowieka. Jedną z tych nauk, jakich sporo wydobył szyderca Nowaczyński z gmatwaniny tragi-komicznej naszych stosunków, byłaby ta, którą już parę wieków temu doskonale uchwycił i sformułował Andrzej Maksymiljan Fredro w ten sposób: „Wtenczas Rzplita jest najnieszczęśliwsza, kiedy w niej radzić poczną nierozumiejący, nadęci i śmiałkowie...“ Tego rodzaju „przejściowi“ ludzie, swoi oraz obcy, wcale mu się nie podobają, im poświęca dużo miejsca w swoich szkicach literackich i publicystycznych, na nich zużywa swój niewyczerpany dowcip — niezwykle twórczy, zwłaszcza pod względem lingwistycznym — na nich używa, co się wlezie. Pozatem — jest altruistą... Gotów jest nawet żyć w zgodzie z syjonistami, byle nie tańczyli oberka, nie deklamowali fragmentów z Wyspiańskiego, chodzili sobie w szabas „w dobrze skrojonej marynarce“, byle nie w Marynarce polskiej...

Nadto, kocha żywych i zmarłych (serdeczne wspomnienie o Wyspiańskim jest najczystszą perłą w piśmiennictwie naszem); kocha ziemię i morze polskie, kocha namiętnie Kaszubów, nawet Litwinów, których traktuje z ojcowską wyrozumiałością jako zbłąkane owieczki (p. „Piórem zdobyte państwo“) — i marzy rozkosznie, że kiedyś „gałązka litewskiego chmielu“ będzie nęcona „wdziękami polskiej topoli...“

Cóż więcej? Oto w swoich marzeniach humanitarnych zachodzi tak daleko, że przedstawi strzępy chwały Wielkiego Cesarza Francuzów, głasza przekonanie, które najpewniej drogo mus go kosztować, iż „typ Napoleoński wszelkiego kalibru i wymiaru należy do okazów szczątkowych zdeklasowanej romantyki“ (p. „*Gloria Mundi*“).

Nie przeczę, że tak wygląda Nowaczyński raczej „od święta“, „na codzień“ bowiem jest pamflecistą — groźnym, nieubłaganym! Czyżby w tem była jego tylko wina?

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

NA WIDOWNI

Dygasiński zginął — O znaczeniu tego pisarza. — Literatura i księgarze. — Przyczyny upadku literatury. — System tandety i gdzie jego źródła. — Samodział i sztuczny jedwab. — Postępy raka.

SKARGA, wniesiona przez spadkobierców Adolfa Dygasińskiego przed sąd opinji publicznej, jest już apelacją od sądu państwowego, któremu pracę udaremniła ekspertyza fachowców. Córka śp. Dygasińskiego p. Władysławowa Wolertowa i mąż jej zaskarżyli przed sąd państwowy postępowanie wydawcy, który podjąwszy się wydania znakomitego pisarza, po paru tomach dalszą czynność zawiesił i publikację udaremnił. Ani w prawo, ani w lewo. Stosunek pisarza do społeczeństwa, pokazuje się, może zginąć w kieszonce wydawcy. Niema dzieł i basta!

Drastyczny wypadek z Dygasińskim otwiera nam oczy na ogólne położenie literatury, zdanej na łaskę i niełaskę wydawców. Dzieła powieściowe Dygasińskiego nie są czemś, coby można bez szkody schować do archiwum. Stanowią one ogniwo niezbędne w łańcuchu historycznym polskiego piśmiennictwa i kultury naszych pojęć społecznych. Należą one do galerji dzieł podstawowych literatury. Podobnie jak teatr opierać się musi na repertuarze podstawowym, bez którego niepodobna dać światu wyobrażenia o bogactwie teatru polskiego, tak samo przeciętny księgozbiór w domu polskim musi mieć w podstawie dzieła, które są ogniwami dziejów literatury.

Błędnie wyobrażają sobie literaturę ci, którzy w niej widzą zbiór talentów przypadkowych. Niema literatury naród, który się nie wykazuje łańcuchem genetycznym talentów. Na Dygasińskiego złożyły się wszystkie tęsknoty literackie, kulturalne i naukowe od wczesnych romantyków, Chodakowskiego, Brodzińskiego. Szopena, Libelta, Kolberga, Kraszewskiego aż po Prusa, Reymonta. Czemże byłaby nasza literatura, gdyby nie pierwiastek ludowy, który wiązał ogniwa historyczne? Dygasiński streścił w sobie wszystkich tamtych poprzedników idee, poczucia i widzenia. Myśl polska (literacka czy społeczna) ma obrót naprzód koło ludu swego, aby mieć prawo i moc obracania się koło słońca idei ogólno-ludzkiej. Stąd nasza siła rzutu cywilizacyjnego, że poczuwamy się w jedni z duszą ludu swojego, że w niej mamy utwierdzenie naszej cywilizacji.

Okres naturalizmu w literaturze, tak niezbędny w łańcuchu rozwojowym sztuki i tak płodny, wypłacił się nam hojnie talentem Dygasińskiego. Pisarz ten dał nam poznać lud polski lepiej, niż ktokolwiek przed nim potrafił. Włożył w swoją pracę powieściową talent, którego sam nie przeczuwał, wiedzę przyrodniczą, którą się chlubiła jego epoka, i serce polskie, gdy się już zdawało, że nigdy nie wróci na świat i rracjonalność. To, co najpiękniejszego można było wyciągnąć z monizmu przyrodniczego dla kultury uczuć narodowych, dał z siebie Dygasiński w powieściach swoich, łącząc i analizując życie ziemi, zwierząt i ludzi w jednem polu widzenia. Dygasiński pogłębił nam widzenie praw życia na konkretach rodzimych, a dzieła jego w sumie to analiza dokonana przez poetę, któremu wyrywa się z piersi hymn na cześć życia.

Otóż — chcę powiedzieć — fach księgarski, ten księgarz zbiorowy, mający w gospodarce narodowej swoje wybitne stanowisko, powinien mieć poczucie, co jest w literaturze ogniwem. Więc kiedy się zdarzy mu wydawać bibljoteczkę popularną, to po Sienkiewiczu, Prusie i t.p. nie ma prawa mu wpaść w kolejkę literatura Przybyszewskiego, która jest raczej pozycją przygodną, lecz powinien mu się narzucić jako konieczność Dygasiński. Jakaś logika obowiązuje.

Brak myśli zasadniczej jest chorobą wydawców warszawskich. Warszawa jest zachwiana w swojem poczuciu narodowem przez żydów. Tutaj największy żal do wydawców. Może związek kupców polskich stracić busolę na rynku perkalików, czy mąki i wypuścić z ręki handel na rzecz żywiołów obcych; można to wytłumaczyć warunkami handlu. Ale niepodobna darować wydawcom polskim, że pozwolili wyrwać sobie podstawową literaturę polską. Jak do tego mogło dojść, żeby spadkobiercy Dygasińskiego zmuszeni byli szukać nakładcy po zaułkach i padli ofiarą takich przygód?

Księgarstwo polskie jest źle zorganizowane. Gdyby w ten sposób działał rynek np. mączny, iżby brakło mąki do wypieku, wdałby się w to rząd. Produkcją i handlem księgarskim kierować winna jakaś myśl społeczna. Łatwo darować bezplanowość poszczególnej firmie, ale od całości księgarstwa wymagamy pewnej odpowiedzialności moralnej, bo jest poważną instytucją użyteczności narodowej i społecznej.

Co mają do roboty księgarze warszawscy? Nakłady treści religijnej i kościelnej wziął Poznań (Św. Wojciech), dzieł politycznych, gospodarczych, naukowych nie wydają oddawna. Zajmują się niemi instytucje państwowe, gospodarcze, naukowe. Księgarnie nawet nie raczą powiadomiać, co z tego mają w handlu. Książki szkolne wydaje przeważnie księgarnia spółdzielcza nauczycieli „Atlas". Wojskowe — też specjalną mają księgarnię. Księgarniom ogólnym pozostała właściwie powieść i książki dla dzieci. I cóż robią z tą powieścią?

Ścigając się w bezmyślnem płodzeniu tandety, zalały rynek jakimś surogatem literatury bez żadnej wartości odżywczej dla czytelnika i w dodatku rujnującym księgarstwo. Prawda — czasy są demokratyczne. W ogrodzie Saskim, w którym niegdyś spacerował król Stanisław z Krasickim i Trębeckim, dziś chłopcy wykrzykują u bram tytuły senników i poradników do pisania listów miłosnych. A centralna instytucja księgarska rozsyła inteligencji katalog z taką odezwą:

> „Kto wchodzi do domu i widzi w nim książki, ten mówi: Oto tutaj mieszka inteligentna, oświecona osoba.
>
> Książka ubiera kobietę lepiej od jedwabnych sukien i klejnotów. Kobieta, która chce się podobać, musi umieć rozmawiać. Żeby mieć o czem rozmawiać, trzeba czytać dobre książki, w których się pisze nietylko o sensacyjnych przygodach, lecz i o szerokim świecie i o tem, jakiem ma być nasze życie.
>
> Ordynarna, codzienna mowa szpeci usta najpiękniejsze. Żeby mówić ładnym, wytwornym językiem polskim i by robić przyjemne wrażenie, trzeba czytać książki wybitnych pisarzy".
>
> („Kur. Księg." Nr. 75).

Rekomendacja książki godna owych listów miłosnych. Niejedna „osoba" chciałaby „robić przyjemne wrażenie", ale gdzie dostać za normalną kwotę owe książki „wybitnych pisarzy"? Gdzież są Kraszewski (teraz się zjawia), Korzeniowski, Maciejowski, Klemens Junosza, Dygasiński, Miłkowski,

dostępny w cenie Sienkiewicz, Prus, Żuk-Skarszewski, Gomulicki, Karczewski, Perzyński?

Literatura belletrystyczna (nie mowię już o poezji), oddana do eksploatacji księgarzom, traci kontakt ze społeczeństwem wskutek złej organizacji związku księgarzy, uzależniających trefny towar polski od gospodarki żydowskiej, a ta jest zawsze kramarska i nie sprzyja ideałowi solidności handlu. Ale — co ważniejsza — wskutek tendencyjnego odbierania literaturze charakteru narodowego, przestaje ona szeroki ogół interesować.

Charakter ten po wszystkie czasy ma każda literatura żywotna. I to rozumieli dawni księgarze w Polsce, nawet żydowskiego pochodzenia i niemieckiego (wszyscy chyba z Niemiec przyszli). Dzisiaj księgarze forsują charakter kosmopolityczny i w książkach i w innych wydawnictwach, które mają zaszczyt wydawać. Aparat wydawniczy warszawski nagminnie masonizuje: ostatni tam krzyk mody — myśleć po żydowsku, aby, broń Boże, nie złapano kogo na sprzyjaniu idei narodowej.

Gdyby wiedziano, że książka daje nie tylko ładne manjery, ale uczy rozumu i kształci ducha obywatelskiego, toby się czegoś nauczono i zrozumiano, że nic tak nie niszczy ducha i literatury, jak masonizowanie. Bo to jest szkoła tandety. Księgarz, który nie rozróżnia gatunku towaru i odrzuca przepyszny samodział (istną tkaninę buczacką) Dygasińskiego, aby handlować sztucznym jedwabiem, musi w końcu zniszczyć sobie rynek. Masy chwilowo się rzucą do każdego towaru, ale rychło wyrzekną się go, bo nie mogą się wyrzec wrodzonego smaku. Stosunek do literatury rodzimej dany jest od natury

W przytoczonej odezwie oczywiście słowa niema o potrzebach ducha narodowego. Dość rzucić okiem na wystawy księgarskie, na ilustracje, aby widzieć, ile wysiłku się robi, aby odwrócić uwagę od rzeczy swojskich na życie obce. Tem się tłumaczy narzucana publiczności podróżomanja i „penklubizm". Tem się tłumaczy, że na konkursie o nagrodę państwową może wyniknąć spór, czy dać nagrodę młodemu podróżnikowi, czy staremu, rasowemu i utalentowanemu pisarzowi Perzyńskiemu, studjującemu własne społeczeństwo.

Głębokie i rozległe są związki przyczyn ze skutkami w takiej sprawie, jak bojkot twórczości Dygasińskiego. Warszawa literacka jest zażydzona i nie może godnie spełniać zadań naczelnego ogniska polskiej cywilizacji. Przyczyniają się do tego wydawcy, nie mający dostatecznego oparcia w mocnych organizacjach polskiego kupiectwa katolickiego. Sarkoma, niszcząca nasze życie społeczne i polityczne, przerzuca się na mózg i tak zmienia nas na obliczu intelektualnem, że wkrótce rozpoznać będzie trudno, co to za naród ma tutaj swoją stolicę.

DIGAMMA

GŁOSY

POTEMKIN NIE MIAŁ RACJI

PRZED kilkunastu dniami wyczytałem w „Dniu polskim" zamieszczony tam na mój specjalny użytek morał, że „dobrze jest czasem odszukać w lamusie wspomnień historycznych pewne analogje i nakierować na nie wzrok społeczeństwa". *Je m'exécute* — i sięgam do starych szpargałów (ja — „oderwany od rzeczywistości"), „nie tykając się twardego dnia codziennego, w którym się tworzy historja". I oto czego się dowiaduję:

Jest koniec roku 1770-tego, wigilja pierwszego rozbioru Polski — zbliża się zmierzch konfederacji barskiej. Pomiędzy Berlinem a Petersburgiem toczą się ożywione rokowania „pacyfikacyjne": książe Henryk pruski, młodszy brat Fryderyka II-go, a kandydat masonerji na tron polski w czasie ostatniego bezkrólewia, bawi tej fatalnej zimy w sprawach polskich nad Newą. W kraju pośród rozterki konfederacji z królem, kłótni wstecznej magnaterji z Czartoryskimi, działa najwięcej, rusza się na wszystkie strony, projektuje, asekuruje — August Sułkowski, wojewoda gnieźnieński, a syn faworyta drugiego króla-Sasa.

Człowiek to istotnie zdolny niezwykle, istny Cagliostro politycznej formalistyki, pan tej Rydzyny, z której jakoś nic dobrego nie chciało rozplenić się na Rzeczpospolitę, gruby materjalista na sosie wielkopolskim — a jak tam się trafi materjalista, to już zalatuje na milę sąsiednim „boszem" — który w wielkiem przesileniu rozbiorowem głośno się przyznaje do tego, iż tylko na tem mu zależy — *de sauver son individu*, przytem reformator ustroju Polski, pacyfista z ducha sławnego księdza de Saint-Pierre, parlamentarzysta na złość królowi, ale republikanin z ducha.

Myśl naprawo-twórcza Sułkowskiego realizuje się tedy ku końcowi wspomnianego już roku 1770, a rozwija się i panoszy na własnem, magnackiem podwórku przez dwa lata następne, aż w to podwórko uderzy ten sam piorun rozbiorowy, który całą przepala Rzecztospolitę. Przypatrzmy się teraz tej myśli bliżej:

Polska ma być rozczłonkowana, podzielona na szereg księstw udzielnych, z których ziemie: kościańska i wschowska przypaść mają *princeps Senatus*—ordynatowi Sułkowskiemu, inne zaś księstwa federacyjne dostałyby się w udziele możnowładcom tego samego pokroju, jak Adam Poniński, osławiony marszałek sejmu rozbiorowego i Ksawery Branicki, późniejszy Targowiczanin. „Chciał z Polski robić Rzeszę Niemiecką" — charakteryzuje krótko ten projekt Sułkowskiego współczesny pamiętnikarz, Jabłonowski. Tak wyglądał cel, a teraz środki wykonania.

W dwa lata po „genjalnej" inicjatywie Sułkowskiego, która wykluła się zapewne latem 1770 r., za jego pobytu w Poczdamie, u Fryderyka, organizuje wojewoda gnieźnieński Wielkopolskę. „Za namową pruskiego ministra Hoyma," — pisze Konopczyński — „a w myśl rady udzielonej Fryderykowi II przez osławionego żyda Ephraima (znanego nam jeszcze z zamachów na dobro Polski czasu wojny siedmioletniej, a później czynnego w spiskach rewolucyjnych francuskich — (przyp. autora artykułu), utworzył naokoła siebie Sułkowski, wśród powszechnej klęski i osłupienia, na gruzach konfederacji i po ogłoszeniu zaborów „Radę województw wielkopolskich", która jęła pertraktować z Berlinem dla realizacji swoich mętnych i zbrodniczych projektów.

Ale i po pierwszym rozbiorze nie zamarły te koncepcje federalistyczne. Podjął je w roku 1774 inny agent pruski, którego nazwisko trafia się także i w dziejach masonerji, a którego osoba zawisła na szubienicy insurekcyjnej warszawskiej, podły Karol-Adolf Boscamp-Lasopolski, zdradliwy — nie Wołoszyn, jak się dotąd przeważnie myślało, ale, Holender, kalwin-konwertyta. Ten, snując się

po korytarzach naszego ówczesnego M.S.Z'u jak zaraza, przyczepiając się do co ważniejszej misji czy ambasady, kusił wysłańca oficjalnego Polski nad Newą, a szefa swojego w tym czasie, hetmana Branickiego, iżby i on wgryzł się nareszcie wraz z kompanami w kruche ciasto dzielonej Rzeczypospolitej, którem tak był się właśnie pożywił Fryderyk ze swojemi sojuszniczkami.

A przez Fryderyka, Boscampa, Branickiego— trójcę wartą siebie — trafiła wzniosła myśl federalistyczna do ruchliwego, choć kałmuckiego mózgu Potemkina. I odtąd jęła się wcielać przyśpieszonem tempem w jego plany. „Askenazy" — powiada ostatni historyk podziałów Polski, Howard Lord — „wyprzedził innych w głębokim wglądzie do labiryntu tajnych celów Potemkina"... Obejrzyjmy te cele:

„Były to" — pisze p. Askenazy („Przymierze polsko-pruskie", Warszawa 1919, str. 48)—„wręcz już zbrodnicze, szalone knowania, którym podobnych trzeba szukać aż w zabójczych projektach szwedzkich Karola-Gustawa i Oxenstierny z przed lat stu trzydziestu, czasu szwedzkiego w Polsce potopu". „Zaś z poza tych skrytych konszachtów" — wyjaśnia — „wyłaniały się nadto najdalej sięgające, wywrotowe plany zamachu stanu, obalenia władzy królewskiej, ustanowienia formy rządu oligarchicznej, z kolejną prezydencją oligarchów, a zarazem najdalej sięgające wywrotowe zamysły federacyjne, zaburzenia jedności Rzplitej, podziału kraju na jakieś udzielne jednostki terytorjalne w liczbie pięciu albo i więcej"...

Tak wyglądały plany polskie Potemkina, mające być uwieńczone — jak przypuszczał Stanisław-August — koroną Jagiellonów dla ambitnego parwenjusza. Tak wyglądał cel, a teraz środki wykonania:

Zaczęło się to jeszcze w tych samych latach, kiedy Fryderyk z Sułkowskim naradzali się w Poczdamie nad sfederowaniem Polski. Dziwi się Askenazy, skąd o tych projektach mógł wiedzieć znany Herder, który w swoim „Dzienniku podróżnym" z roku 1769 (w tym czasie bawił on w Rosji i afiljował się tam do wolnomularstwa) notuje: „*Die Ukraine wird ein neues Griechenland werden..., ihre Grenzen werden sich bis znm Schwarzen Meer hin erstrecken*"... I dodaje profesor Askenazy: „Rokując z królem, spiskując z malkontentami, Potemkin trzecią broń morderczą trzymał w zanadrzu: kozaczyznę... Tutaj też miał być kamień węgielny jego tajemniczej Dacji, jego państwa czarnomorskiego... Budził, rozdmuchiwał tradycje Sahajdacznego, Chmielnickiego, a i Paleja, Barabaszenki i Gonty. Hajdamaczyzna — uwieńczeniem i korektywą obosiecznych rokowań sprzymierzeńczych z królem i oligarchją polską — taka była dla Rzpltej polskiej, zachowana na sam koniec, trzymana w odwodzie, *ultima ratio* Potemkina.".

Tyle profesor Askenazy. Ale podkreślić jeszcze należy, że, za każdym razem, gdy budziła się idea sfederalizowania Polski, kucharzami tej kuchni politycznej byli żydzi. Jak Ephraim przy Sułkowskim, tak przy Potemkinie działał Abram Perec, bogaty monopolista, który „myślał także o skozaczeniu żydów prowincji południowych polsko-rosyjskich, utworzył już dwa szwadrony żydowsko-kozackiego pułku konnnego „Izraiłowskij"; „*mais la terreur qu'ils avaient de leurs chevaux, en attendant celle de l'ennemi*" była powodem zaniechania tej formacji, jak opowiada żartobliwie świadek naoczny (książe de) Ligne" [1]).

Tylem wypisał, odnajdując, jako historyk, w odległej przeszłości dzień dzisiejszy, a jeżeli „Dzień Polski" znowu weźmie mi za złe, że moje reminiscencje historyczne nakierowują wzrok społeczeństwa na „mędrców Syjonu" i że „używam organu endeckiego do swoich wynurzeń", może mnie przed temi ciężkimi zarzutami ochroni powaga cytatów z dzieł prof. Askanazego, których w tym artykule „endeckiemu" czytelnikowi nie szczędzę.

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

WYCHOWANIE NARODOWE

TROSKI P. MINISTRA OŚWIATY

(Dokończenie)

PAN minister ma jednak dwa jeszcze inne zmartwienia: politykę w szkole i — młodzież. Pan minister zwalcza mianowicie zasadę niewprowadzania polityki do szkoły, broni się tylko przed „miazmatami partyjnej walki politycznej": „co innego obowiązek szkoły zorjentowania wychowanka w zjawiskach życia społecznego i politycznego jego kraju i wszczepienia w jego umysł pojęć, a w jego serce uczuć takich, które go uzdolnią i uzbroją na ofiarny, święty trud dla własnego Państwa". Pan Czerwiński powołuje się tu na przykłady wychowania obywatelskiego w Bolszewji i w Niemczech i przeciwstawiając tym zagranicznym wzorom nasze jakoby nieudolne wychowanie obywatelskie: sucho uczymy dzieci o Polsce współczesnej, a w historji polskiej wzdrygamy się przed zapoznawaniem uczniów „z wypadkami historycznemi ostatnich lat kilkunastu".

„Mówienie o legjonach Piłsudskiego, to polityka, wyjaśnianie, jaki powinien być stosunek Polaków do mniejszości narodowych w Państwie — to polityka, mówienie o Naczelnym Wodzu w wojnie 1920 r. — to oczywiście jaskrawa polityka"— oto ustęp, pełen gryzącej, bolesnej ironji.

Gorąco przyklasnęlibyśmy p. Czerwińskiemu, gdyby codzienne doświadczenia nie nauczyły naszych nauczycieli, że z prawdą dziejową ostatnich lat kilkunastu należy się obchodzić w szkole bardzo ostrożnie, tak ostrożnie, że najlepiej — milczeć, to też wielu rozsądnych historyków i nauczycieli „Polski współczesnej" — chętnie pokrywa tę epokę milczeniem. Wielu czyni to poprostu przez instynkt samo zachowawczy — z obawy o własną skórę. Wypadki przeniesień politycznych, tak liczne w ostatnich czasach, aż nazbyt często mają źródło w lekcjach historji i nauki o Polsce współczesnej.

---

[1]) *„Encyclopaedia Judaica"*, Berlin, Eschkol, 1928, str. 485, podaje, że Abraham Hirszowicz, faktor nadworny Stanisława-Augusta, proponował królowi w osobnym memorjale kolonizację Ukrainy proletarjatem żydowskim. Por. wydany przez Dembińskiego list Piattolego do marszałka Stanisława Małachowskiego z dnia 23 maja 1792 („Kwartalnik Historyczny", XIV, 631) z którego wynika, że (oczywiście wzamian za pomoc królewską przy owej planowanej kolonizacji Ukrainy i wyrobieniu innych korzyści) żydzi zobowiązali się spłacić długi królewskie. Nie potrzeba dodawać, że najciemniejsze żywioły Sejmu wielkiego, z osławionym Jackiem Jezierskim, kasztelanem łukowskim, na czele, stanęły jak mur w obronie, pokrzyżowanej przez opozycję, sprawy żydowskiej.

Są jednak i tacy nauczyciele, którzy milczą poprostu ze względów wychowawczych, z obawy w skuteczność oficjalnej prawdy, głoszonej *ex cathedra* — w czasie, gdy młodzież w domu z ust osób, które czci i szanuje, z dzienników, z książek wreszcie tak łatwo posiąść może tę drugą — nieoficjalną prawdę, która pono staje się coraz głośniejszą. Pan minister wierzy, jak widać, mocno w potęgę suggestji oficjalnego słowa a także oficjalnego druku; jest to znane złudzenie „sanacyjne", któremu rzeczywistość zadaje kłam na każdym kroku. Pan minister jest jednak wychowawcą. Czy ten konflikt między „prawdą" a — prawdą, tak częsty dziś konflikt między domem a szkołą na tle politycznem, nie wydaje mu się tragicznym właśnie ze stanowiska wychowawczego? Albo czy istotnie p. minister wierzy w wychowawczą wartość — np. opisu walk majowych? Nie każdy jest na tyle zręcznym nauczycielem, by mógł sobie pozwalać na tego rodzaju ekwilibrystykę wychowawczą. Tu nie wystarczą nawet dobre intencje nauczyciela „sanatora", jeśli stoi wobec inteligentnej młodzieży, a nie chce jej popychać w objęcia partyj opozycyjnych. Taki człowiek najlepiej zrobi, milcząc.

Jeśli bowiem przejdziemy do trzeciego zmartwienia p. ministra, którem jest „nacjonalizm" inteligentnej polskiej młodzieży, to geneza tej „przywary" młodzieży tkwi wprawdzie głęboko w duszy społeczeństwa, ale tkwi także niewątpliwie i w szkole. Tylko — naszem zdaniem — nie w braku agitacji prorządowej przez szkołę, jak przypuszcza zdaje się p. Czerwiński! My, wręcz przeciwnie, widzimy źródło nastrojów opozycyjnych młodzieży właśnie w nadmiarze oficjalnej, urzędowej propagandy, nakazywanej z góry i wtłaczanej w młodzież przemocą w regularnych, conajmniej kilkumiesięcznych odstępach, wtłaczonej przez tych właśnie dyrektorów i gwałtem zasługujących się nauczycieli, którzy nie mają dość taktu, by mówić prawdę lub przynajmniej — milczeć. Pan minister chciałby może tej propagandy jeszcze więcej, może co dzień, co godzinę? Gdyby tak było, to tem lepiej będzie dla niezależnej myśli narodowej, tem lepiej dla nieoficjalnej propagandy, która bić będzie wówczas w szkołę coraz potężniejszą falę ponad głowami wychowawców. Być może, że system oficjalnej propagandy daje znakomite wyniki w szkole bolszewickiej. Ale typ młodzieży polskiej jest właśnie zgoła inny od typu rosyjskiego, o czem p. minister chyba wie najlepiej.

Bardzo dobrze bowiem, że p. Czerwiński „pamięta doskonale", jak „w czasach niewoli młodzież polska poza szkołą oficjalną stworzyła sobie drugą szkołę w postaci t. zw. kółek i organizacyj ideowych". My nie pożądamy bynajmniej w niepodległej Polsce takiej podwójnej szkoły, to jednak, co dzisiaj dzieje się z naszą szkołą, wygląda tak, jakby rząd właśnie pchał młodzież do tej drugiej szkoły tajnych kółek i organizacyj.

Pomijamy ataki p. ministra na „zoologiczny nacjonalizm" młodzieży akademickiej i rzewną wzmiankę o „pilnie uczącej się młodzieży żydowskiej", na której młodzież polska dokonywa jakoby aktów fizycznej przewagi. Młodzież obroni się zapewne sama od zarzutów p. ministra, a sympatyczną wzmiankę o żydach niechaj „Nasz Przegląd" reprodukuje tłustym drukiem. Rozumiemy nawet do pewnego stopnia wzburzenie p. ministra po niedawnych sukcesach młodzieży wszechpolskiej w uniwersytetach.

Uderzyła nas natomiast troska p. ministra o harcerstwo, które cierpi obecnie, jak wiadomo, na nadmiar opiekunów rządowych, akurat w tym samym stopniu jak szkoła na nadmiar propagandy. Pan minister konstatuje w harcerstwie objawy

„które muszą głęboko niepokoić wszystkich, myślących o przyszłości naszego państwa. Oto mianowicie prócz głównego Związku Harcerstwa Polskiego poczęły powstawać inne, niezależne od niego ośrodki harcerstwa.

Powstało więc t. zw. czerwone harcerstwo socjalistyczne, powstały odrębne związki harcerskie żydowskie i ukraińskie.

Nie potrzeba być jasno widzącym, żeby widzieć i rozumieć, że bierne przyglądanie się takiemu rozwojowi sprawy harcerskiej jest równoznaczne z pozwalaniem na wbijanie klinów w podstawy naszego państwa".

Pragnęlibyśmy chętnie wczuć się w głęboką troskę p. ministra o harcerstwo, ale argumenty powyższe nie bardzo nas przekonywają, sądzimy bowiem, że państwo, które stworzą odrębne szkoły ruskie i żydowskie, nie powinno się wzdrygać przed konsekwencją odrębnych związków harcerskich. Dlaczego odrębne harcerstwo ruskie ma być klinem wbitym w podstawy państwa, a szkoła ruska nie, istotnie nie rozumiemy.

Obawiamy się, że ta troska o jednolitość harcerstwa wynika raczej z niepokoju z powodu coraz to słabnącego wpływu na młodzież, który tak trapi naszą „sanację". Ale tu sprawa jest bardzo trudna: bo jak się zdaje dobry Bóg, kazał młodzieży polskiej dążyć do innych ideałów, niż te, które jej z niezmordowaną natarczywością ukazuje „sanacja".

WŁ. JAWORSKI

NAUKA I LITERATURA

Z ŻYCIA LITERACKIEGO I NAUKOWEGO

Wkrótce teatr Narodowy ma wystawić nową sztukę Stanisława Miłaszewskiego. Jest to komedja p. t. „Bal w obłokach", pisana wierszem. Teatr Letni w Warszawie nabył graną już w Poznaniu z wielkiem powodzeniem wesołą komedję Adama Grzymały Siedleckiego „Maman do wzięcia". Rolę główną ma grać Ćwiklińska.

*

Obwieszczenia prospektowe w prasie zapowiadają dostępne dla wszystkich zbiorowe wydanie dzieł Jana Kasprowicza. Wydawnictwo ogłasza prenumeratę na łączną sumę 40 zł. za całość broszurowaną w tomy, lub 75 za komplet oprawny. Tomów będzie 20. Płacić można ratami. (Adres wydawn.: Kraków. na Gródku 21 wydawn. dzieł Kasprowicza). Redaktorem wydawnictwa jest znany krytyk, doc. un. krakowskiego, Stefan Kołaczkowski.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Tadeusz Newlin-Wagner, autor cennego studjum o zagadnieniu predestynacji w dziełach Słowackiego, ujawnił rzetelny talent poetycki w dwóch zbiorkach wydanych w ostatniem dziesięcioleciu. Same ich tytuły: „Wiecznemu pięknu" (1919) i „Zaczarowany dom" (1927) charakteryzują dobrze poetę. W przeciwieństwie do ogółu poetów dzisiejszych, którzy lubują się w zgiełku i geszefciarstwie wielkomiejskiem, w przelotnej modzie i aktualności, Wagner pokochał to, co piękne, co wieczne, co tchnie czarem i zaciszem. Stąd wypłynęła jego predylekcja do pokrewnych mu nastrojem poetów romantycznych, oraz do poetów — myślicieli, poetów estetyzujących i poetów — intelektualistów. Mając wskutek złego losu — utrudnioną drogę do porozumiewania się z żywymi ludźmi, zmuszony był obcować z poetami w lekturze; że zaś rozmawiał z nimi serdecznie, poufnie i głęboko, dowodem tego są obfite przekłady. Po przekładzie „Hymnów do nocy" Novalisa (opatrzonym przedmową tłumacza) wydał obecnie Wagner — nakł. Tow. Wyd. „Rój" — piękną wiązankę przekładów p. t. „Skarb dusz". „Ze stu dwu-

dziesiu pięciu lat liryki". Reprezentowanych jest tu dwudziestu kilku poetów — francuskich, rosyjskich, niemieckich, angielskich, włoskich — których podzielić można na mniej więcej dwie grupy: romantyków (Hugo, de Vigny, Leopardi, Byron, Sheller, Keats, Novalis, Schlegel, Tieck, Lenau, A. Tołstoj, Heine), z preromantykami (Bürger, Goethe, Chènier) i poetów intelektualistów drugiej połowy XIX w. (Rosetti, D'Annunzio, Mereżkowski). Przekłady mają wiele zalet artystycznych. Zasługuje na uwagę — archaizowany umyślnie — przekład „*Madame de Soubise*" Alfreda de Vigny (znany czytelnikom „Myśli Narodowej") oraz przekład sonetu D'Annunzia „*O giovinezza animé, la tua corona*"—zachowujący w kilku miejscach nawet rymy oryginału.

*

Opuścił prasę tom I. „Szkiców i portretów literackich" Kazimierza Bartoszewicza (Kraków, Gebethner i Wolff str. 304) Tom ten zawiera: Z dziejów humoru polskiego: B. Paprockiego „Dziesięcioro przykazanie mężowo" Rzeczpospolita Babińska. Małpa—Człowiek, nieznana satyra w. XVIII. Jędrzej Kałuski i jego niewydane dzieło. Inicjator Komisji Edukacyjnej. „Towarzystwo Filantropów" Uniwersytetu krakowskiego. Napoleon w rymach polskich. Adam Napoleon Mickiewicz.

*

W „Bibljotece laureatów Nobla" (Wydawnictwo Polskie R. Wegnera w Poznaniu) ogłoszono w polskim przekładzie powieść Selmy Lagerlöf „Anna Swärd" (trzecia część tetralogji. opisującej dzieje rodu Löwensköldów). „Anna Swärd" jest niezaprzeczenie jednem z najświetniejszych, najdojrzalszych pod względem artystycznym dzieł znakomitej autorki szwedzkiej. Talent narracyjny, zadziwiająca subtelność i przenikliwość w kreśleniu charakterów, dar poetyckiego widzenia wreszcie — czynią z tej najnowszej pracy sędziwej pisarki dzieło o nieprzemijającej wartości. Jest ono ponadto interesujące także i z tego względu, iż w sposób niezmiernie pouczający odsłania psychikę protestantyzmu, z zawartemi w niej sprzecznościami wewnętrznemi oraz wynikającemi stąd załamaniami moralnemi w życiu żarliwie wierzącego i pobożnego młodego pastora. Przekład Leopolda Staffa — bez zarzutu.

SZTUKI PLASTYCZNE

KRAJOBRAZ

OKRESY zwrotne w sztuce, o ile są tłumne i wartkie, odznaczają się nastrojem bojowym, ten zaś wydobywa na jaw takie zjawiska wewnętrznego życia sztuki, których w czasie pokoju często się nie dostrzega. Obecny zwrot do kompozycji postaciowej i do portretu, z oparciem się o późne średniowiecze i Odrodzenie, ujawnił pewien rys psychologiczny wśród braci artystycznej, mianowicie niechęć i pogardę dla krajobrazu, zwłaszcza — barwnego. Jest to, szerzej rzecz ujmując, pogarda dla tego, czego się nie rozumie, nie umie, nie czuje i czem się nie jest. Trwa ona zawsze, jako mniej lub więcej ukryta wojna pomiędzy różnemi typami artystów. Impresjoniści gardzili obrazami postaciowemi i ich twórcami, i nawzajem byli przez nich lekceważeni. Od zobopólnego niezrozumienia nawet wielki talent nie chroni. Bardzo możliwe, że ta pogarda jako skutek daleko posuniętej wyłączności talentu jest dlań rodzajem pancerza, broniącego przed rozproszeniem i skupiającego siły do jednego kierunku i celu.

Co jednak jest zrozumiałe i może nawet dobroczynne w artyście, jako twórcy, to staje się szkodliwą ciasnotą w krytyku sztuki. Do obowiązków krytyki artystycznej należy taka pojemność, by żaden rodzaj sztuki nie był dla niej pasierbem. Dla krytyka powinny istnieć tylko wartości rzemiosła i artyzmu danej sztuki, oraz ich stosunki historyczne, psychologiczne i moralne. Elementarne rodzaje, naprzykład, malarstwa, jak oto — portret, krajobraz, obraz historyczny, kompozycja postaciowa, kwiaty i przedmioty, obraz dekoracyjny, fantastyczny i t. d.—wszystkie mają dla krytyki równe prawa obywatelstwa. Na wzajemne w tym zakresie niechęci i wojny wśród artystów krytyk powinien spoglądać z góry, jako na wewnętrzne niesnaski *generis irritabilis*, jak to już dawno brać artystyczną nazwano. O ile zaś te wojny z pracowni artystycznych chcą się przenieść na arenę publiczną, krytyk ma obowiązek łagodzenia ich i sprowadzania na miejsce dla nich właściwe. Wojna portretu z krajobrazem jest z tego punktu widzenia całkowitym nonsensem.

W Europie krajobraz jako temat samowystarczalny, zyskał na znaczeniu w wieku osiemnastym (jeśli nie liczyć odosobnionych prób, jak np. arcydzieła graficzne Rembrandta). Cywilizacje starożytne i długie wieki naszej cywilizacji nie rozumiały krajobrazu, a jeśli go widziały, to w kształtach i barwach niemal hieratycznych i jako tło do scen ludzkich. Dopiero przedświt epoki romantycznej, w Anglji mianowicie, wyzwala krajobraz i stwarza wielki prąd, plenerem zwany, który, następnie z wielkiem bogactwem i siłą talentów rozwinęli Francuzi, Polacy, Rosjanie i inne narody, w szczególności północne. Z niewielkim wyjątkiem, w czasie najbujniejszego rozkwitu pleneru można powiedzieć, że plener i jego pochodne—to krajobraz. Przed oczami oczarowanych artystów odsłoniły się cuda przyrody, niewyczerpanej krynicy zachwytów i natchnień. Pierwszym w Polsce krajobrazistą na miarę najwyższą, choć nie w malarstwie, jest w „Panu Tadeuszu" Mickiewicz. Może to właśnie on wespół ze Słowackim wychował polski krajobraz malarski.

Krajobraz w malarstwie sam przez się posiada wszystkie warunki na wielkie dzieło sztuki. Postać w nim ludzka, lub zwierzęca, albo dzieło rąk ludzkich staje się szczegółem, do przyrody należącym. Ale i bez tego szczegółu krajobraz może być w pełni liryczny, dramatyczny, albo tragiczny, może widza wzruszać do głębi duszy i dawać mu coraz nowe skojarzenia duchowe, równie dalekie, jak najlepszy obraz każdego innego rodzaju. Zapewne, istnieją ludzie i artyści na krajobraz niewrażliwi. Ale skoro istnieją wrażliwi, niema powodu do wzajemnego wyklinania się i wypraszania ze świątyni sztuki. Nowe, surowe warstwy dzisiejszych społeczeństw wniosły i do sztuki dwie swoje cechy znamienne: demokratyzm i nietolerancję. A krajobraz jest sztuką wysoko rozwiniętej kultury arystokratyzmu ducha, a co za tem idzie, wspaniałomyślności i tolerancji. Przyroda jest lepszym i dostojniejszym wychowawcą, niż gromada ludzka.

Z tego, że w danym czasie malarstwo krajobrazowe znużyło się i nie wydaje wielkich talentów, nie wynika bynajmniej, że krajobraz wogóle racji bytu nie posiada. Raczej wnioskować można, że dane pokolenie za małe jest, nazbyt prozaiczne, demokratyczne, gadatliwe, realistyczne, aby mogło wznieść się do wspaniałości przyrody krajobrazowej, wolnej od ludzkich spraw i ich zgiełku. Ciekawym i logicznym przyczynkiem do tego zjawiska może być fakt, że zaciekłymi i programowymi przeciwnikami przyrody wogóle, a w szczególności malarskiej są żydzi. Oni z rasy swej są wrogami przyrody. Już zakon mojżeszowy zabrania swym wyznawcom patrzenia na niebo gwiaździste. „Żyd słońca nie widzi" — jak to chłop polski w genjalnem przysłowiu określił. Otóż rasowe to i nieuleczalne chamstwo żydowskie trafiło dziś na chwilowe i przejściowe chamstwo nowych warstw polskich, co razem dało potworka zwanego judoformizmem. Ale potworki krótko żyją, więc i tego będziemy wkrótce oglądali w muzeum w słoju ze spirytusem.

Co do krajobrazu w Polsce, istnieją dane, że już niedługo powstanie nanowo w dziełach, godnych jego posłannictwa. Kulturalne warstwy polskie nie przeszły przez tak straszliwą trzebież rytualną, jak w Rosji, i odradzają się szybko. Założone w nich zrozumienie i ukochanie przyrody przemówi i w poezji i w malarstwie, a że ma za sobą cały wiek dziewiętnasty niezwykłej miary doświadczeń i wysiłków, przeto można być pewnym, że tak głęboka orka nie pozostanie bez wpływu na glebę bliskiej przyszłości. Narzucanie krajobrazom pewnych teoryj i praw, dobrych może w kompozycjach postaciowych, zatrzyma rozwój tego i owego talentu o słabszej woli—na czas krótszy lub dłuższy, ale całego zjawiska nie zahamuje. Krajobraz nowożytny wypły-

wa ze zbyt głębokich źródeł duszy ludzkiej, aby jakiekolwiek teorje inżynierji mogły zbudować dlań tamy dość silne.

Do tych wywodów ogólnych przybywa jeszcze ta okoliczność miejscowa, że malarstwo polskie w bardzo małym stopniu wykorzystało olbrzymie bogactwa, jakich mu przyroda w Polsce tak hojnie użycza. Tak naprzykład, krajobraz górski, tatrzański zaledwie jest napoczęty, morze w malarstwie polskiem jeszcze nieobecne, a nawet poetyczność pól, łąk i lasów, wsi i miasteczek naszych nie w pełni znalazła wyraz swój w dziełach twórczego natchnienia. Nie biorę tu, oczywiście, w rachubę krajobrazów naturalistycznych. A czem jest, czem być może pierwszy lepszy motyw krajobrazowy, o tem poucza cykl Wyspiańskiego p. t. „Kronika kilku dni". Kilkanaście obrazów jednej i tej samej szosy, z jednego okna malowanych o różnych porach dnia i różnych pogodach — kilkanaście arcydzieł i najwyższych duszy ludzkiej objawień.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

P. S. W zeszycie poprzednim w siódmym wierszu od początku mojego szkicu wydrukowano mylnie „Wielka ilość artykułów" zamiast „artystów".

ZMARLI

LUDWIK BIRKENMAJER

DNIA 20 listopada zmarł w Krakowie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, Dr. Ludwik Antoni Birkenmajer.

Zmarły pochodził ze spolszczonej dawno rodziny niemieckiej, dziadek jego był żołnierzem napoleońskim i brał udział w wyprawie na Moskwę, a stryj, późniejszy proboszcz miasta Rozwadowa, uczestniczył w powstaniu r. 1848 przeciw Austrji. W atmosferze patrjotycznej spędził swe dzieciństwo ś. p. Ludwik Birkemajer, urodzony dn. 25 maja 1855 roku w miasteczku Lipsko (dziś wojew. Lwowskie) z rodziców Józefa i Petroneli ze Stefanowskich.

Studja odbył we Lwowie w gimnazjum bernadyńskiem i na wydziale filozoficznym uniwersytetu. W 1878 r. objął posadę profesora matematyki i fizyki w szkole rolniczej w Czernichowie pod Krakowem, w rok potem doktoryzował się na uniwersytecie Jagiellońskim, w parę zaś lat później habilitował się tamże na docenta fizyki eksperymentalnej

Pierwsze prace z zakresu swego przedmiotu — ogłosił już w r. 1876 i w latach następnych; za przedmiot miały one naukę o rozszerzalności ciał i inne kwestje matematyczno-fizyczne. Prace te zwróciły nań uwagę Akademji Umiejętności która niebawem powierzyła mu kierownictwo badań hygrotermicznych oraz pomiary głębokości jezior tatrzańskich, następnie zaś badania stanu ruchów wahadłowych w salinach bocheńskich. W młodym stosunkowo wieku został prof. Birkemajer członkiem Akademji Umiejętności za obszerną rozprawę o Marcinie z Olkusza, uczonym polskim w. XV., jednym z pierwszych inspiratorów późniejszej słynnej „gregorjańskiej" reformy kalendarza. Odtąd kontynuując poniekąd tradycję swego teścia, Franciszka Karlińskiego, długoletniego dyrektora obserwatorjum astronomicznego w Krakowie, poświęcił się głównie badaniom historji nauk ścisłych, zwłaszcza zajmując się historją astronomji, matematyki i fizyki polskiej, na tem polu tak szeroką rozwinął działalność i tyle zdziałał, że zaszła potrzeba stworzenia dlań—jedynej w Polsce—katedry historji nauk ścisłych, którą piastował zrazu jako profesor tytularny (sprawując jednocześnie funkcję profesora, przez pewien czas i dyrektora, szkoły czernichowskiej), następnie (od r. 1910) jako prof. nadzwyczajny i (od r. 1920) zwyczajny Wykazując wielkie zasługi, jakie Polska położyła w dziedzinie nauk matematycznych , zajmował się prof. Birkermajer Mikołajem Wodką z Kwidzynia, Wojciechem z Brudzewa, Janem Brożkiem, Janem Śniadeckim, Hoene-Wrońskim, i in., nadewszystko zaś najgenjalniejszym ze wszystkich Polaków, Mikołajem Kopernikiem, któremu poświęcił wiele prac, znanych i u nas i zagranicą., Na czele prac tych postawić należy ogromne dzieło p. t. „Mikołaj Kopernik", którego część I. wyszła w r. 1900, jako najwspanialsze uświetnienie pamiętnego obchodu 500-lecia uniwersytetu Jagiellońskiego. Księga ta była owocem długoletnich studjów, a zwłaszcza poszukiwań archiwalnych, bibljotecznych, dokonanych w Niemczech, Danji i Szwecji w r. 1897. Trzy jeszcze wielkie ekspedycje naukowe przedsiębrał prof. B. późniejszemi laty.

Najważniejszym plonem pierwszej z nich w r. 1907, było odkrycie słynnego dziś listu Kopernika do Zygmunta Starego (ogłosił go po raz pierwszy prof. B. w II. tomie „Lamusa"), gdzie wielki astronom skarży się na Krzyżaków, nazywając ich „zbójcami i zbrodniarzami". Drugą ekspedycję w r. 1911, przedsięwziął prof. B. wraz z ś. p. profesorem Łosiem; rezultaty tej wyprawy ogłoszone zostały w osobnej książce. Trzecia ze wspomnianych ekspedycyj przerwana została przez wybuch wojny. Z innych prac o Koperniku godne są pamięci przedewszystkiem: „*Nova Copernicana*" (napisane po niemiecku na spółkę z uczonym szwedzkim (J. Colinem). „*Nicolo Copernico a l'università di Padova*", „Mikołaj Kopernik jako twórca, uczony i obywatel", „Mikołaj Kopernik i Leonardo de Vinci", „*Stromata Copernicana*" (cz. II. wielkiej monografji), a wreszcie „Wybór pism", wydany w „Bibljotece Narodowej".

W r. 1923, podczas obchodzonego uroczyście przez całą Polskę jubileuszu urodzin Kopernika, prof. B. był duszą całego obchodu, wygłaszając kolejno szereg odczytów o wielkim astronomie w Krakowie, Poznaniu, Toruniu, Warszawie, i szeregu miast pomniejszych. Wtedy to został przez rząd polski odznaczony orderem komandorskim „*Polonia Restituta*", a przez szereg towarzystw naukowych (Tow. Nauk warszawskie, toruńskie i in.) mianowany członkiem honorowym. Jednocześnie Międzynarodowa Unja Astronomiczna w Oxfordzie powołała go na swego członka i reprezentanta Polski, a Szwecja obdarzyła go wysokim orderem „Gwiazdy Polarnej". Hołd jego zasługom złożyła i literatura polska w osobie Stefana Żeromskiego, który w „Wietrze od morza" jeden z najpiękniejszych rozdziałów książki (VII-my) oparł właśnie na monografji Birkermajera o Koperniku, a w „Snobizmie i postępie" (str. 197) tak o dziele ten pisał:

„Alboż nie jest książką pełną poezji wielkie dzieło prof. Ludwika Birkermajera o Koperniku — gdzie wszystko jest przedziwnie potrzebne, jasne, ścisłe, wydobyte z nicości, wyrwane z próżni, wyszperane z niewiedzy, z ciemnoty, myślą wyćwiczoną, i mądrą dosięgnięte w mroku czasów? Ażeby podjąć dzieło takie, jak zbadanie genjuszu Kopernika, wyśledzenie dróg jego myśli, sposobów jego odkryć, samotnych jego mocowań się z opornym wszechświatem i wzlotów aż do siedliska tajemnicy, trzeba posiadać tyleż zapewne pasji, nieustającej podniety, furji wewnętrznej i natchnienia wysokiej miary, co do napisania poematu, dramatu lub powieści... Tam się, o dziwo! znajduje poetyckie wzruszenie!..

Nauki ścisłe oraz ich historja nie były jedyną dziedziną zajęć naukowych Zmarłego. Interesowała go też historja wogóle, zwłaszcza historja kultury. Był członkiem Komisji do badania dziejów sztuki w Polsce i często gromadził lub ogłaszał materjały lub szkice, dotyczące zwłaszcza dawnych kościołów i klasztorów. Zajmował się też osobami i działalnością niektórych historyków polskich, zwłaszcza Wapowskiego i Miechowity. Dlatego też bliżsi niejako ziomkowie Miechowity — akademicy Miechowianie — mieli w osobie prof. B. kuratora swego Koła. Ponadto Zmarły przez kilka lat ostatnich swego życia piastował godność senjora starodawnej Jagiellońskiej Bursy Akademickiej. Był też przez lat kilka dyrektorem żeńskiego seminarjum nauczycielskiego pod wezw. św. Rodziny.

Za trumną szły rzesze przedstawicieli nauki oraz uczniów. Zmarły osierocił liczną rodzinę.

OFENSYWA

ZLIKWIDOWANIE P. LIPIŃSKIEGO

Zdaje się, że ten major i doktór z „Kurjerka Porannego" jednak poszedł w odstawkę i znikł z horyzontu. Prawdopodobnie tylko w stolicy i wnet gdzieś wypłynie jako wicewojewoda, komisarz kasy chorych lub cenzor. U sanatorżników bowiem nie bywa wogóle typu doszczętnie skompromitowanego. Taka Sanojca np., gdzieśindziej by już zakopano go po szyję w jego gnój korrupcyjny, u sanatorżników Sanojca działa dalej i wychlawszy rano litrówkę gorzały, nadal bawi Sejm swemi dowcipami...

Z tym p. Lipińskim, z miasta Łodzi, rodem była taka sprawa, że w „sanacyjnej" prasie pan ten w ostatnim sezonie zaczął udawać fejletonowego historyka i krytyka dzieł historycznych. Pisywał nie tyle już z tupetem, ile z gwałtownością wprost prowokującą. Nic, tylko pierwsza brygada i pierwsza brygada. Od 13-tego maja 1926 początek Polski a „legjonery" tylko Polacy, reszta... swołocz, autonomji tylko chciała, za carem tęskni... On zaś niby, ten p. Lipiński (*aus Łódź*) był już wprost nad-Polakiem i jako taki sądził surowo nawet konkurentów, którzy ośmielili się pisać choćby adoracyjnie o „pierwszym marszałku". Zerżnął więc ten Lipiński nawet Olechowskiego, nawet Jellentera. a niejakiemu Hińczy zarzucił nawet i udowonił plagjaty.

Aliści przyszła kreska na Matyska. Niejaki bowiem p. Goldwasser postanowił zrobić geszeft na konjunkturze i wydać „Dziesięciolecie", Tadeusz Goldwasser od jakiegoś czasu Złotnicki. Do tego dzieła wynajął sobie kilku panów, potrzebujących monety, gotowych pisać wedle instrukcji i pod patronatem wydelegowanego *ad hoc* z Biura W. historycznego kapitana Przybylskiego. Wśród zaangażowanych przez p. Goldwassera — Złotnickiego znalazł się i publicysta historyczny p. H. Mościcki, ongiś podobno narodowy demokrata, od kilku lat zmuszony do profitywniejszego zarobkowania, z przekonań rządowiec. Komitetowi redakcyjnemu tego „Dziesięciolecia" dostarczył też swojej pracy wyżej wzmiankowany p. „major, dr. Lipiński". Jako major oczywiście o armji polskiej i jej genezie. No i tutaj *incipit tragoedia*. Majorowi widocznie się śpieszyło. P. Tadeusz Goldwasser-Złotnicki nalegał. Dość, że pogromca Hinczy plagjatora i główny historyk pierwszej brygady popadły widocznie w szał „radosnej twórczości" zatracił znaczenie tego „co moje" a „co twoje" i najspokojniej sobie przepisał, „buchnął", splagjował moc ustępów z pracy o wojsku polskiem prof. Tokarza.

Książka o „Dziesięcioleciu" poszła w handel ślicznie, w organach sanatorżników pojawiły się cacane recenzje, p. Ehrenberg dumny był ze swego domowego majora, p. Lipiński zaczął się nadymać jak żaba, aż tu nagle buch, jak piorun z jasnego nieba, pismo „Szaniec" odkrywa plagjaty i to trzeba przyznać w delikatnej formie.

W „Kurjerku Porannym" popłoch. Jasnogórski komandor zirytowany. Restitutki prasowe radzą p. Lip. żeby się bronił i ratował. Bidny *Lodzermensch* robi, co może. Tam wysyła „świadków", tu „sprostowanie", powołuje się na swój list do p. Tokarza, w którym poprostu przyznał się do eskamotażu i prosi o przebaczenie. Ale nic nie pomaga. Twierdził bowiem, że nakładca, t. j. p. Tadeusz Złotnicki onże Goldwasser ze względu na popularny styl publikacji zastrzegł się przeciw t. zw. odsyłaczom, odnośnikom, cudzysłowom i cytacjom źródeł... z tej racji on tedy, major dr. Lipiński (z miasta Łodzi) też musiał się zrzec w pośpiechu odsyłaczów i cudzysłowów. Książka atoli roi się od cudzysłowów i odsyłaczów oraz posiada na końcu: „omyłki w druku". Zaczem niby to „karygodna samowola" wydawców (Goldwassera)... Po nieudałych jednak zabiegach ratowania go, usunięto p. Lipińskiego do ciemnicy, gdzie już przebywają Stpiczyński, Olpiński, Turtertaub, Handelsman, Hincza, Jellenter, Ulanowski, Olechowski i t. p.

Mamy dlań jednak jedno miłe zajęcie. Wyszła obecnie w Paryżu poważna księga G. Maureverta p.t.: „*Les livres des plagiats*" gdzie poważny uczony zestawia kilkaset słynnych plagjatów począwszy od... Eurypidesa. W tej kompanji znajdzie p. W. Lipiński pierwszorzędne nazwiska.

Zamiast tedy pisać „surowe krytyki" naprzykład na generała Michaelisa, którego myśmy tu w Warszawie znali jako doskonałego Polaka znacznie przed wojną, to jest wtedy kiedy..... rozmaite parszywce jeszcze do chederu na Bałutach chadzały... niech sobie pan dr. Lipiński Wacław sprowadzi dzieło Maureverta i niech nam to na polski pięknie przetłumaczy.

Drugi zasię egzemplarz Maureverta niechaj da z dedykacją p. Komandorowi Ehrenbergowi, który przez dwa lata taki był dumny ze swego adjutanta majora, a teraz po kompromitacji tak go bez litości z redakcji wylał.

Śliczna brygada te sanatorżniki!

Czas pomyśleć o specjalnej celi dla... panegirystów.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Jeden ze współpracowników tej rubryki pisze nam:

Puściłem się posuwistym krokiem wielkoświatowca na wywiady. Pytam wybitnego cudzoziemca:

— No, panie cudzoziemcze, co pan powie o naszem przesileniu?

— Właśnie szukałem Polaka, żeby się z nim podzielić wrażeniem. Wasze przesilenie ma jakąś sympatyczną cechę swoistą, nie spotykaną na zachodzie — powiedzmy: słowiańską. Gdzieindziej ludzie padają z wyżyn polityki, u was sprawy się jeszcze toczą w granicach elementarnej moralności. Ma to pewien zapach dżungli. I to jest poniekąd sympatyczne.

— Nie prawda? Jak to miło słyszeć!

— Bo — ciągnął dalej cudzoziemiec — na zachodzie wszystko już skostniało w pewne zasady i nie budzi już dyskusji, a u was te rzeczy są takie świeże! Oto przykład. Gdzieindziej ludzie podejmują się gospodarować cudzemi pieniędzmi, ale zgóry zastrzegają: prosimy jednak o ścisłą kontrolę. A u was się mówi: tylko bez kontroli! Jest w tem szlachetny gest ludzi wolnych, rozumiejących istotę głoszonego przez się hasła „niepodległość" ... Albo — proszę pana — walka o to, żeby nie kontrolować, gdzie i jak zginął człowiek. Albo: bilet wizytowy dygnitarza w rękach proletarjusza ... Nie, tego niema w naszych przesileniach. Widzę tutaj, jak my na zachodzie postarzeliśmy się. Gdzież podział się ten nieco prymitywny, ale ciepły stosunek do haseł wolności, równości i braterstwa na tle elementarnych zagadnień moralnych!

*

„Czas" w Nr. 283 pisze:

„Przesilenie wywołało naturalnie cały szereg domysłów i kombinacyj; wymieniane są nazwiska przyszłych ministrów; nie warto jednak powtarzać tych plotek, które mają swoje źródło w bezwzględnem milczeniu i odosobnieniu człowieka decydującego."

Jakoś to niezręcznie napisane i pod względem logicznym i politycznym. Bo jeśli ktoś milczy i jest odosobniony, do tego bezwzględnie, to jakże można go pomawiać, że jest źródłem plotek? A z drugiej strony czyż może człowiek w tych warunkach decydować?

„Czas" opowiada takie rzeczy, jakby nie wiedział z komunikatów, że decyzja spoczywa w ręku Prezydenta. Więc to jest niepolityczne także.

*

Niczem w dawnym okresie sejmowładztwa, p. Prezydent Rzeczypospolitej zaprasza na audjencje przedstawicieli klubów sejmowych, ażeby „w drodze konferencyj ustalić położenie"... Jedna tylko daje się zauważyć różnica. O ile dawniej zapraszano wyłącznie przedstawicieli stronnictw polskich, obecnie „konferował" na Zamku także reprezentant klubu żydowskiego, syjonista małopolski, poseł Rosmarin. Słusznie kładzie nacisk na znaczenie tego faktu „Express Poranny" w sześcioszpaltowym tytule „Od Rybarskiego do Rosmarina". Polacy w Polsce zapamiętają dobrze to zdarzenie.

*

Opisując zakończenie posiedzenia Sejmu dnia 6 b. m., „Gazeta Polska" (Nr. 39) doniosła:

„Posłowie poczęli wychodzić z sali, został jedynie klub B. B. W. R. Członkowie Bloku odśpiewali „I Brygadę", poczem wznosząc okrzyki przeciw marszałkowi Sejmu... opuścili salę..."

Szkoda doprawdy, że wiadomości „Gazety Polskiej" redagowane są w formie tak suchej, zwięzłej, z pominięciem szczegółów. Czyż nie było to zaiste godne opisu, jak rycersko wyglądał np. poseł Kirschbraun, kiedy o sobie i o swoich najbliższych zanucił „my... strzelecka gromada", jak dostojnie dźwięczały głosy posłów Janusza Radziwiłła, Solańskiego, Wiślickiego, kiedy z żołnierską iście determinacją intonowali. Na stos—rzuciliśmy nasz życia los"... Jako żywo, niezapomniana to musiała być chwila! Czemuż nie opowiedziano tego dokładniej „dla pokrzepienia serc"...

CZYTAJCIE i PRENUMERUJCIE

AWANGARDĘ

MIESIĘCZNIK MŁODYCH

DZIEJE POLSKI LAT OSTATNICH

od roku 1865

Książka jest dziełem prof. WACŁAWA SOBIESKIEGO i stanowi osobne, niezmienione wydanie tomu III-go jego „Dziejów Polski". Posiada wszystkie zalety dzieł tego pisarza.

Nowe wydanie zostało zaopatrzone w 20 ilustracyj, portrety postaci historycznych omawianej epoki.

Książka ma 245 stron druku. Kosztuje 5 złotych.

Nabywający „Dzieje Polski lat ostatnich" za pośrednictwem „Myśli Narodowej" nie ponoszą kosztów przesyłki książki.

Fabryka wyrobów bronzowych artystycznych,

Odlewnia figur i rzeźb

BRACIA ŁOPIEŃSCY

W WARSZAWIE

PRZY ULICY HOŻEJ Nr. 55 TEL. 17-89
MAGAZYN FABR. KRAK. PRZEDM. 15.
TEL. 21-90.

wykonywa i posiada na składzie:

Ozdobne stylowe oświetlenia do elektryczności, Przedmioty salonowe i kościelne z bronzu i srebra. Podarki okazyjne i nagrody sportowe.

Poznań P. W. K. 1929 r. Państwowy Dyplom Honorowy i wielki złoty medal.

PRACOWNIA i MAGAZYN

Wyrobów Podróżno-skórzanych

JAKO TO:

KUFRY, WALIZY, NESESERY, TOREBKI DAMSKIE, PORTFELE, TEKI BIUROWE, PORTMONETKI I T. P.

A. CHAJĘCKI

WARSZAWA,

CHMIELNA 35. TELEF. 212-15.

ADMINISTRACJA

CUKROWNI CIELCE

i

CIECHANÓW

WARSZAWA

BODUENA 1.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administacji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O. **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop. Prac. Drukarskich, Zielna 47, tel. 19-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.